JULJUSZ KADEN BANDROWSKI

ACIAKI

z I-SZEJ A

LWÓW
WYDAWNICTWO ZAKŁADU NARODOWEGO IMIENIA OSSOLIŃSKICH
1932

JULJUSZ KADEN BANDROWSKI

A C I A K I
z I-szej A

LWÓW
WYDAWNICTWO ZAKŁADU NARODOWEGO IMIENIA OSSOLIŃSKICH
1932

Z DRUKARNI ZAKŁADU NARODOWEGO IMIENIA OSSOLIŃSKICH
pod zarządem Adama Wierzbickiego

ACIAKI I BEKASY

Najspokojniejszy człowiek może się przestraszyć, gdy dowie się podczas śniadania, czy podczas obiadu, czy naprzykład, po południu, że Aciaki i Bekasy to nietylko chłopcy z Pierwszej A i z Pierwszej B, tacy sami, jak wszyscy inni wszystkich innych Pierwszych A i Pierwszych B: Że Aciaki i Bekasy, — to historja wszystkich epok, wszystka praca wielkich wodzów, mężów stanu, zbawców Ojczyzny i wogóle — całej ludzkości.

Aciaki — i Bekasy!

Spokojnemu człowiekowi nie może rzecz taka pomieścić się w głowie odrazu.

Spokojny człowiek podchodzi do takiego Aciaka, huśtającego się na trapezie w drzwiach salonu i pyta skromnie:

— No, dobrze, ale bądź co bądź, Bekasy, to wasi koledzy? Mówcie, co chcecie, jesteście mimo wszystko kolegami!

Niebieskooki Aciak ze zwichrzoną czupryną staje na trapezie, już tylko jedną ręką trzyma się sznura, drugą wyrzuca naprzód w głąb salonu i woła:

— Żadni koledzy! Niema mowy! Zwykłe, głupie Bekasy!

Twarz Aciaka oblał rumieniec gniewu:

— Zwykłe głupie bekasy! I, — idjoci!

— Dlaczego zaraz idjoci, przecież wkońcu —

— Niema żadnego „wkońcu“. Czy ty wiesz, że oni nie słuchają naszych porządkowych? Czy ty wiesz, że oni wcale u siebie nie sprzątają? Czy ty wiesz, że oni...

— Że oni, — co?

W oczach Aciaka płonie światło natchnionej nienawiści:

— Że o nich nie warto nawet mówić!

— A jednak Lutek (ów Lutek, z którym Aciaki chodziły jeszcze do przedszkola, ów Lutek, z którym po raz pierwszy w życiu byli razem w cyrku, razem „drżeli z podziwu“, a później, z narażeniem życia podpowiadali sobie jak pisać chów i huf) chodzi teraz do B i nic się chyba w nim przez to nie zmieniło?...

— Lutek? — Przez usta siedzącego na trapezie Aciaka przemknął uśmiech — godny najsmutniejszych spraw człowieka. Po chwili padają słowa, przedziwnie kołysane skrzypem metalowych kółeczek trapezu:

— Chociażby nawet Lutek...

A potem nagle, z krzykiem na cały salon, i na wszystkie pokoje, jakby w obliczu wszystkich Bekasów świata:

— Żebyś wiedział, już teraz wszystko jedno, — chociażby nawet Lutek!!!

— Dlaczego?!

Dlatego, iż okazuje się, że choć to jest to samo gimnazjum i w tym samym budynku, i z tym samym

programem, tą samą Arcią (arytmetyką), Geogrą, Polakiem, Miską (miss od angielskiego), — zachodzą tu różnice nadzwyczajne!

Tak! Aciaki pracują, Bekasy nic nie robią.

Mają taki sam program?

Nie, Bekasy nie mają programu.

Takich samych nauczycielów?

Nauczyciele Bekasów nic nie robią! Śpią na godzinach.

— A dyrektor?! Macie wspólnego dyrektora! Wspólnego dyra!

Okazuje się, że nawet wszystko wśród Aciaków widzący dyrektor, gdy wejdzie do Bekasów, ślepnie, głuchnie, nie wie, o co mu chodzi i nic zrobić nie może. Dyrektor nic zrobić nie może z Bekasami.

— A minister? Gdyby, dajmy na to, minister —

— Wszystko jedno!

— A gdyby tak Prezydent Rzeczypospolitej? Weźmy taki wypadek: Bekasy ryczą, wrzeszczą, wstrętnie wyją, aż tu nagle otwierają się drzwi i wkracza sobie do Pierwszej B. Prezydent Rzeczypospolitej we fraku, z orderami, — z wszystkiemi orderami?!

— Nicby to nie pomogło! Mybyśmy wstali odrazu, ma się rozumieć! My! Ale Bekasy wyłyby jeszcze więcej, na złość!!

— Więc co? Więc niema rady?

— Nie znasz Bekasów! Jest rada, całkiem prosta: Walić! Myśmy wczoraj złapali jednego i wrzasnęliśmy: Bekas, — ledwie się skulił i już zaraz...

Oba Aciaki stoją teraz przede mną, groźne, srogie,

nieubłagane: Wypięli naprzód piersi, prężą ramiona ku swym odwiecznym wrogom, z niebieskich źrenic miotają błyskawice i mówią, abym nareszcie zrozumiał, dlaczego Aciak musi walić Bekasa:

— Bo musi! Czy rozumiesz? Nie może być inaczej!

— Dlaczego?

— A to dobre! Tu oni lecą z korytarza, a myśmy się schowali doskonale za drzwiami. Felek podstawił nogę, — ależ to było lanie! Cała kupa, już tamci wrzeszczą, tymczasem nadlatuje nagle Stasiek i znów jak kropnie! Oni już wrzeszczą —

Wrzeszczą i nadlatują, Aciaki i Bekasy, a przedtem my Aciaki naszych czasów, wszelakie Laryszaki, Smolaki, wszystkie A, wszystkie B, wszystkie C, jeszcze przedtem dziadowie w najrozmaitszych barwach, epoletach, szamerunkach, z wszelakiemi znakami, ze wszystkich krajów świata: Tu oni lecą, — tu myśmy się schowali — już tamci wrzeszczą — robi się z tego jedna ogromna łuna ciemna, bronzowa, targana krzykiem, — nadbiegamy, — tam znowu oni, — tu już się pali do samych brzegów morza, — Aciaki i Bekasy tarzają się po całej ziemi, Napoleon, Hannibal, Cezar, Sobieski, Belizarjusz z Wercyngietoryksem wywrócili już Felka, który podstawia nogę, — liczne okręty toną w strasznym dymie, kółka trapezu skrzypią równomiernie, — jakąż tu znaleźć radę na to wszystko?

Radę znalazł wychowawca.

— Może da się co zrobić, mo-o-o-że?... Oni chcą, żebyśmy podpisali tę rzecz razem z Bekasami.

Aciaki wyszukują w tornistrze z pomiędzy książek,

orzechów i anglasów i jeszcze jakichś kulek i sznurków ów poważny dokument, dodając:

— Trzeba będzie podpisać, bośmy wybili trzy szyby w korytarzu. Wypada po 50 groszy na każdego, jako odszkodowanie. Trzeba będzie narazie podpisać.

Dokument całkiem jasny. Potargany, pomięty, zwykła kartka z zeszytu, na jednej stronie ma wyrysowane cztery dwupłatowce, kunsztownie cieniowane, na drugiej jest umowa, czyli raczej *Warunki*.

Słowo „warunki“, nie widać, aby było jasno ustalone, mimo, że dokument opiewa całkiem jasno. „Warunki“ ma po *r* jakąś chytrą literę, mogącą jednocześnie znaczyć *u*, lub *ó*.

Warunki z klasą I-szą B.

Taki jest tytuł dokumentu.

Treść równie prosta: Będą się słuchali naszych dyżurnych, a my Waszych. Pokażemy Wam, cośmy zrobili. Nie brykać i nie krzyczeć. Prenumerujcie książki!!

Oto treść dokumentu.

— Jeżeli to się uda, będziemy palili w sobotę razem z Bekasami fajkę pokoju. W sobotę po południu.

— Potem już nigdy nie będzie żadnej wojny, to wiadomo, ale już trudno, jużeśmy podpisali.

Palili fajkę bardzo uroczyście. Fajkę poprzedził wspólny, potężny krzyk Aciaków i Bekasów.

Krzyczeli przez pięć minut, jak Indjanie Old Shatterhanda, Old Shurenhanda, Old Firehanda i wszelkich innych plemion.

Usiedli do tego krzyku po turecku.

Fajka była prawdziwa, przepalona, góralska. Palili

jakieś ziele, nie tytoń zwykły, lecz coś ważniejszego, pono miętowe liście.

Obu klasom i fajce służyli za świadków wychowawcy, a patrzył sam dyrektor.

I cóż?

I znów nanic i znowu wszystko, — bujda! Już w dwa dni później przyłapali na korytarzu — kogo?

Lutka, tego samego Lutka, z którym „drżeli z podziwu". Wzięli go do niewoli i znowu: — Tu oni lecą, a ci tu się schowali, już tamci wrzeszczą strasznie, niema żadnej nadzieji ratunku!!

— Bo fajka była całkiem nieformalna. To była zwykła bujda, przedewszystkiem Indjanie palą cicho, nigdy przytem nie wrzeszczą. Indjanie palą wszyscy, a u nas dwóch paliło tylko. Rozumiesz? To wszystko było zupełnie nieformalne! Poprostu zwykła bujda!

— No więc, do stu tysięcy djabłów, — unosi się spokojny człowiek, — trzeba było określić naprzód i ustanowić, co się uważa za formalne, a co ma być oszustwem?!

Aciaki śmieją się szatańskim śmiechem — wszystkich mężów stanu, wszystkich ministrów zagranicznych, wszystkich posłów pełnomocnych i wszystkich szefów kancelaryj. Nakoniec przyskakują blisko, by w poczuciu wyższości, zakrzyknąć zgodnie:

— Nic nie rozumiesz! Czy nie rozumiesz, że nikt na świecie nie potrafi zrobić dobrych warunków z Bekasami! Zrozum, — to są Bekasy! Be-ka-sy! Zrozum i pomyśl: Sama nazwa! Tak się już nazywają, to trudno. Cała ta rzecz jest w nazwie — i tego nie rozumiesz!!!

Z NAD STOŁU — AŻ DO GWIAZD

Nie można do nich wchodzić. To jest, ostatecznie, wejść można, ale jakby nie widzą, ignorują, głowy nawet od swej roboty nie podniosą.

Mówić nie mogą, bo z wielkiego, żarliwego zajęcia coraz oddech wstrzymują i zapominają przełykać i kiedy się do nich ktoś odezwie, to najprzód muszą głęboko westchnąć, a potem znowu czasu nie mają na mówienie.

Pracują obaj. Tak żarliwie i pilnie i porywczo, jak się chyba pracuje na tonącym okręcie, żeby dziurę załatać, przez którą wpada woda.

Na stole wszystko poprzewracane do góry nogami. Na tym stole zawsze wszystko jest, mniej więcej, poprzewracane. Papierowe aeroplany spoczywają na otwartych zeszytach. Kałamarze, w kształcie góralskich kapeluszy, cudem jakimś nie tracą równowagi wśród bramek pokojowego krokieta i czerwonych kul od kręgli i łódek papierowych i drewnianych okrętów, skarbonek, notesów, portfelów i całego tysiąca innych niezbadanych, zawsze bardzo potrzebnych przyrządów.

Jeżeli więc mówię, że dziś poprzewracane jest wszystko do góry nogami, to znaczy, że na stole tym dzięki nie-

pojętym cudom równowagi wznoszą się wgórę na łokieć całe piętra klocków, piórników, piłek i wszelkich książek.

Całe piętra!

Wśród tych pięter, pasm i wzgórz wszelakiej niepotrzebności wyżłobione są jakgdyby dwie kotliny. W owych kotlinach właśnie wre ta niebywała, odpowiedzialna praca.

Raz po raz w huku i łomotaniu walą się na ziemię przedmioty zbędne, ale obaj pracujący nie zwracają na to najmniejszej uwagi. Nie zwracają wogóle uwagi na nic.

Staję w drzwiach i mówię wcale głośno, że dziś jest lekcja muzyki.

Odpowiedź Aciaka-zdobywcy:

— Niema mowy o muzyce!

Nie odchodzę i przypominam, że także angielski jest chyba na jutro. Wedle mego rozkładu godzin (wydobyłem go dla siebie i przechowuję w portfelu, i mimo wielkich targów, nie oddaję) jest na jutro angielski!

Odpowiedź Aciaka-humanisty:

— Bądź spokojny o anglika, — nie ucieknie!

I dalej, dalej, — praca. Skupiona, żarliwa, obrzmiałemi łapami, paluchami, które drżą z pośpiechu, wśród spojrzeń wytężonych dokonywana.

Łapami, spojrzeniami, paluchami, napięciem grzbietu, sztywnym karkiem...

Podchodzę bliżej i patrzę, co robią z takim dzikim zapałem.

Pracują laubsegami. To właśnie gruba dykta zwala raz po raz ze stołu te kupy niepotrzebnych przedmiotów.

Wycinają laubsegami jakieś prostokątne podstawki.

Ale łamią im się w palcach piłki co chwila.

Chłopcy chwytają się oburącz za głowę.

Z rozpaczy.

A potem woła jeden do drugiego: — Masz jeszcze piłkę?! Daj!

Jeden drugiemu pomaga, bez słowa kłótni, sprzeciwu, czy wyrzutu.

I znów piłują.

Nic nie mówiąc, oglądam właściwy warsztat pracy: Dykta, kupka gwoździków, parę drewnianych kątomierzów, trzy szpulki do nici i kilka małych okrągłych palików.

Paliki, o ile mnie pamięć nie myli, należały do garnituru klocków.

Dykta, gwoździki, kątomierze, szpulki, w środku tego śmietnika wielka butla z gumą arabską.

To moja butla. Wywalili już z niej korek z pendzlem i zastąpili doskonały pendzel obsadką. Drugi koniec obsadki moknie w gumie.

Wobec tego wszystkiego uważam, że mogę wkroczyć w majestacie swej władzy.

— Przepraszam was, moi drodzy, ale co właściwie robicie? Cóżto za jakieś zabawy?!

— To nie żadne zabawy, warjacie, to jest geografja!

— Jak ty możesz mówić do ojca „warjacie"?!

— Bo to jest geografja. Mamy zadane: Luneta. Czyli — teleskop! Za godzinę będziesz mógł oglądać wszystkie gwiazdy!

I dalej, jakby mnie nie było w pokoju, jakby nie było nikogo i niczego, — sama praca...

Kwadratowe podstawki z dykty udały się świetnie.

Teraz należy w środku tych podstawek, w wymierzonym środku wydłubać dziurę.

Taką właśnie, jak trzeba. Żeby w nią wszedł palik, żeby się dobrze trzymał, ale zarazem, żeby się mógł dookoła obracać.

Do palika musi być przytwierdzone poprzeczne ramię. Do ramienia musi być przylepiony papierowy kątomierz. Do podstawki na dole też.

Teraz do poprzecznego ramienia musi być przywiązana luneta. Zwinięta z czystej kartki zeszytu.

Doskonała luneta do obserwowania gwiazd. Teleskop!

Lunetę tę należy przywiązać do poprzecznego ramienia teleskopu jakimś sznurkiem.

Ale sznurkiem nie można, bo jest za gruby. Obaj pracownicy naradzają się szybko. Każda chwila jest droga.

— Mówię ci, nie przywiązuj sznurkiem, bo za gruby! Przerżnie lunetę, — mówię ci!

A więc nićmi.

— Jakiemi?

— Czarnemi, lepiej czarnemi, bo to wygląda, jak żelazne obręcze. Albo nawet stalowe!

Więc nićmi.

Ciężka praca: Oblepione gumą arabską palce lepią się i do drzewa i do nici i do kątomierzy, tymczasem flacha z gęstą gumą arabską wywraca się raz po raz.

Ale oni mają już taką wprawę z tą flachą! Nie podnoszą jej odrazu, a dopiero po chwili, gdy już mniej więcej przypuszczają, że gęsta ciecz dochodzi do krawędzi butli.

Jeden wiąże czarne nici na lunecie teleskopu, drugi wierci grubym świdrem dziurę w drewnianym kwadracie podstawki.

Okazuje się, że za wielką dziurę wywiercił. Palik chybocze się i wywraca na wszystkie strony, przechodzi za głęboko wdół, tak, że teleskop nie może teraz ustać.

— Myśl! Genjalna myśl, — woła jeden do drugiego. — Podbijam podstawkę gwoździkami. To nawet będzie lepiej wyglądało. Zobaczysz!

Aby podwyższyć podstawkę, przybija po jednym gwoździku do każdego jej rogu.

Źle obsadzony młotek spada wciąż z drzewca na podłogę.

— Nie wal tak, — mówię — bo rozbijesz tę podstawkę.

Są to chwile najwyższego skupienia. Ten, który przybija gwoździe, przygryzł wysunięty język, wali dalej młotkiem i — widzę, że oddech wstrzymuje ze strachu.

A potem, kiedy już te ciężkie odpowiedzialne prace zostały wykonane, trzeba jeszcze wykonać (jak to zwykle bywa przy końcu dzieła) rzecz najsubtelniejszą.

Mała rzecz, już tylko drobiazg, a to jest właśnie najtrudniejsze!

Trzeba w ów palik tuż nad kątomierzem, przylepionym do podstawki, wbić małą szpileczkę, którąby wskazywała ostrość kąta i odchylenie.

Aparat stoi już. Już jest całkiem gotowy. I teraz, teraz właśnie trzeba tu wbić grubym, dużym młotkiem, malutką szpilkę u nasady palika.

Co który mocniej gruchnie młotkiem, — cały apa-

rat mokry jeszcze od gumy, klajstru, potu — chwieje się i rozłazi.

— Nie, lepiej nie bić młotkiem. Lepiej ją wbić poprostu.

— Jak?!

— Palcem.

Już po kilku chwilach palce są pokrwawione.

— Trzyma się!

— A u mnie jeszcze nie.

— Daj, ja wbiję!

— Za nic w świecie...

Naturalnie, że za nic w świecie! Trzeba samemu budować od początku do końca. Samemu wszystko wypiłować, przykleić, przyklepać, przymocować samemu, ach! — samemu, stąd z nad stołu — aż do najdalszych gwiazd.

Już nikt na to nie patrzy, dawno już opuściliśmy tę wspaniałą pracownię, gdy nagle rozlega się stamtąd wielki zwycięzki okrzyk:

— Już jest teleskop!

Teleskop: z kątomierzami, obraca się wygodnie, szpileczka odznacza dokładnie wszystkie kąty.

Od tej chwili żaden przedmiot — aż do kolacji — nie będzie oglądany gołem okiem.

Wszystko będzie widziane dokładniej, za pomocą teleskopu.

— Tylko sobie wyobraź, że naprzykład ten gzyms, albo ta kulka na gzymsie jest jakąś gwiazdą. Chcesz widzieć tę gwiazdę i chcesz poznać jej szybkość. Dla mnie to już nic nie jest! Nastawiam teleskop i widzę doskonale pod jakim kątem jest ta gwiazda.

Obaj stoją długo przy oknie. Przez to miejskie okno ledwie widać mały skrawek nieba. Na niebie niema dzisiaj gwiazd, ciemna szaruga przewala się wysoko nad dachami.

Lecz ci dwaj chłopcy w szarudze, przez deszcz, śnieg i mgłę ciężką dostrzegają wybornie jakąś gwiazdę.

— Jest, jest pod czterdziestym piątym stopniem, jest najwyraźniej w świecie!

Stoją chyba godzinę przy oknie i w mglistym ciemnym odmęcie chmur widzą tyle gwiazd.

A przecież opowiadałem im o tych rzeczach jeszcze dawniej, w lecie. Na wyiskrzonem niebie nad górami, w Zakopanem, pokazywałem przecudny znak Orjona i Wielki Wóz i Małą Niedźwiedzicę.

Nie obchodziło ich to wcale. Opowiadałem nieraz o szybkości światła, o niesłychanych, straszliwych rozmiarach słońca. I o dwóch miljardach olbrzymich słońc, które wchodzą w skład naszej drogi mlecznej.

Nie obeszło ich to wcale.

A teraz?

Sądzę, że teraz dopiero poczuli cały, bezbrzeżny, niesłychany i nieskończony bezmiar świata, gdy przyszło im zdobywać własną żarliwą pracą ów bezgraniczny ogrom. Teraz go rozumieją już i odczuwają, gdyż przez papierową rurkę skleconego tak śmiesznie teleskopu krąży po tym wszechświecie wraz z żarliwem spojrzeniem ich trud, praca i lęk i ogromne marzenie wysiłku i pierwsze celowe zwycięstwo własnej natchnionej pracy.

DRUGIE ŚNIADANIE

Za moich czasów śniadanie szkolne podczas wielkiej przerwy we wzorowem c. k. gimnazjum, podlegającem Wysokiej c. k. Radzie Szkolnej Krajowej wyglądało mniej więcej w sposób następujący:

Z odgłosem dzwonka rzucaliśmy książki i zeszyty do pulpitów (czterech uczniów siedziało w jednej ławie) i wyciągaliśmy z tychże samych pulpitów jedzenie.

Jedzenie to było rozmaite, zależnie od stopnia zamożności rodziców. Byli tacy, którzy przynosili bułki z szynką, pasztetem, po dwie, trzy; albo też bułki z piersią kurzą, czy indyczą. Byli tacy, którzy mieli bułki tylko z masłem, byli też tacy, którzy przynosili chleb suchy, lub nic na drugie śniadanie nie mieli.

Bułki z szynką, pasztetem i t. p. stawały się przedmiotem handlu, zazdrości, wyniesienia się jednych nad drugimi. Stawały się już w najmłodszych klasach przyczyną wielkich różnic klasowych pomiędzy uczniami, podziału na maminych synków i zwykłych synków, ba, — niejednokrotnie powodem do dawania w ławce t. zw. sera; powodem walk, bójek i nienawiści.

W klasach wyższych od pierwszej, gdy uczniowie

mogli byli już obracać pieniędzmi, śniadanie we wzorowem gimnazjum, podlegającem c. k. Wysokiej Radzie Szkolnej Krajowej wyglądało jeszcze inaczej: Uczniowie tych klas z nastaniem wielkiej przerwy zbiegali wszyscy tłumem na pierwsze piętro do pokoju t. zw. tercjana, czyli pedla, czyli woźnego szkolnego i tu, powiedzmy otwarcie, pod auspicjami nieświadomej swych metod c. k. Wysokiej Rady Szkolnej Krajowej wciągali się w nieśmiertelną rutynę małopolskiego „pokoju do śniadań".

Bufet tercjana, prowadzony dla uczniów przez pana tercjana i jego małżonkę, był przecież pierwszym stopniem tego śniadankowego raju, który społeczeństwo męskie Małopolski rozpoczynało w gimnazjum, a kończyło na najwyższych wtajemniczeniach u Hawełki (w Krakowie), u Musiałowicza (we Lwowie) i innego jakiegoś iksa, lub ypsylona w Stryju, Tarnowie, Kołomyi, czy Wadowicach.

W gimnazjalnym bufecie tercjana można było dostać herbaty, kawy, kiełbasek i t. p. Bułka z jedną parówką kosztowała trzy centy, bułka z dwiema parówkami pięć centów.

Można tu było też dostać babkę, polaną lukrem, bywały nawet ciastka migdałowe i nawet torty.

Całe gimnazjum zbiegało oczywiście na wielką przerwę do tego wyszynku tercjana, gdzie uczniowie panowali bezpodzielnie. Panowali oni tu bezpodzielnie, nie wypadało bowiem wówczas, by nauczyciele, czyli panowie profesorowie jedli razem z uczniami.

Panom profesorom zanosiła śniadanie do pokoju pro-

fesorskiego tercjanowa i każdy uczeń ówczesny pamięta chyba, z jakim szacunkiem oraz zazdrością spoglądano na serwetami okryte, dymiące tace z porcjami dla profesorów.

Tak więc panowanie uczniów w restauracji szkolnej było do pewnego stopnia panowaniem parjasów, z którymi wyższy szczep, rasa, czy klan profesorów nie mógł wspólnie śniadać.

Każdy z nas dawnych uczniów wzorowego ówczesnego gimnazjum pamięta chyba też ów tak charakterystyczny widok: Bogacze jedli po dwie, trzy bułki każda z parą gorących kiełbasek, popijali to herbatą, lub kawą i zagryzali jeszcze tortem.

Średniacy jedli jedną bułkę z jedną kiełbaską.

Pod ścianą zaś stał tłum kolegów-biedaków, którzy nie mając pieniędzy, chcieli być przynajmniej w pokoju, w którym się je. Nie mając na kiełbaski, chcieli przynajmniej powąchać ich zapachu.

Kupowanie śniadań u tercjana miało też bardzo korzystną stronę — moralną.

Uczeń, który u państwa tercjanów dużo jadł i dużo tam kupował, cieszył się znacznemi przywilejami. Ucznia tego nigdy na niczem tercjan nie przyłapał, podczas gdy innych śledził bardzo czujnie. Uczeń taki mógł scyzorykiem rżnąć ławę, rzucać gąbką, smarować czy kopać tablicę, wybić szybę kamieniem — dzięki dobrej opinji u tercjana był zawsze niewinny.

Co więcej: Uczeń taki stołujący się obficie u tercjana, mógł dowiedzieć się ukradkiem o stopniach swych

zapisanych w katalogu profesorskim a trzymanych przed ogółem kolegów w tajemnicy.

* * *

Parę dni temu szukając kogoś ze znajomych w jednem z t. zw. wzorowych gimnazjów warszawskich, trafiłem tam właśnie na porę drugiego śniadania.

Przyznaję otwarcie, że to co zobaczyłem tu, wydało mi się, — mnie byłemu uczniowi c. k. gimnazjum wzorowego, — snem, fantazją, czy też spełnieniem nieziszczalnej utopji.

Na głos dzwonka, ze wszystkich stron gmachu zbiegają uczniowie parami, razem z nauczycielami do refektarza, znajdującego się w oddzielnej części gmachu. Obecność profesorów (za naszych czasów byli to przecież ludzie niedostępni) w niczem nie krępuje uczniów.

Refektarz wygląda jakby jakaś sala na okręcie, czy też w sportowym letnim klubie, malowana wielkiemi pasmami jasnych żywych kolorów.

Każda klasa ma swój rząd ławek, od pierwszej do najwyższej klasy ciągną się owe ławki przez długość całej sali.

Każda klasa ma na swym długim stole bukiet polnych kwiatów. Każda klasa je razem ze swym wychowawcą bez żadnych ceremonij obłudnych. Jedzą wszyscy to samo. Gorącą zupę, chleb z masłem, czy też kakao, czy kawę owsianą.

Rozdane to jest wszystko w przeciągu dwóch trzech

minut najwyżej, przez panie, matki uczniów, należące do odpowiedniego komitetu szkoły.

Chłopcy wszyscy jedzą na porcelanowych talerzach, mają serwetki bibułkowe do ocierania ust.

Nikt nikomu nie służy, — wszyscy wzajemnie pomagają sobie.

W głębi sali jest stół dla nauczycieli. Taki sam jak dla uczniów. I nauczyciele i sam pan dyrektor (czemże dla nas w naszych wzorowych szkołach był dyrektor — wcieleniem zgrozy i przerażenia) je to samo, co uczniowie.

Panie komitetowe szkoły w białych czepcach i w białych fartuchach roznoszą szybko i sprawnie zupę, dokrawują uczniom chleba, podają masło.

— Bo tu niema służących żadnych, — objaśnia mnie mój Aciaczek, — te panie to są nasze matki.

Zaproszono i mnie do stołu. Była zupa ziemniaczana, bardzo dobra, jak w domu, chleb z masłem i doskonałym pasztetem z jajek.

Płaci się za to 10 złotych miesięcznie, wprost na ręce komitetu.

Usiadłem w niskiej ławce, i doznaję wrażenia, — ach, gdybym je potrafił określić?! Przypomina mi się dawne gospodarstwo tercjana we wzorowem c. k. gimnazjum. Korytarze tego gimnazjum szare, odrapane, klasy ciemne z płaszczami moknącemi wokół ścian i podłoga klas naszych zawsze tak zabłocona! Zaprawdę, jakby od tego czasu do dziś minęło nie lat trzydzieści, lecz trzysta!

Więc jakże tu nie wierzyć w postęp! Trzydzieści lat minęło i już nasze dzieci wychowują się w warunkach kulturalnych o ileż, ileż lepszych!

Każda klasa ma swój rząd ławek, każda klasa ma na swym stole bukiet polnych kwiatów. I niema tu służących żadnych, wszystko rozdają matki.

Czy wiecie chłopcy, że w tej chwili w refektarzu szkolnym podobnym do pięknej sali okrętowej, gdybym miał głos wspaniały i gdybym się nie wstydził, podniósłbym się natychmiast z ławki i głosem swoim, — ale musiałby być niesamowicie pięknym, — zaintonowałbym jakiś ogromny, wielki naiwny, pompatyczny i łatwowierny a zarazem najprawdziwszy hymn na cześć nadziei i nauki.

Siedzę tu teraz, naprzeciw kilkanaście ław z kwiatami, pod kwiatami szereg tych wszystkich aciaków, drugasów, trzeciaków, siódmaków i ósmaków... Jem grzecznie pasztet z jajka, istotna jednak prawda tej chwili całkiem inaczej wygląda: Drodzy chłopcy! Ja tu stoję wśród was i to ja właśnie, dawny filareta i były legjonista, uczestnik wojny świata — głosem najgorętszej nadziei, najtkliwszym głosem serca śpiewam tu między wami hymn radosnej przyszłości.

BUDA PO STRAŻNIKU — CZYLI OGRÓD

Za moich szkolnych czasów nauka przyrody należała do najnudniejszych z pośród wszystkich innych i tak już bardzo nudnych przedmiotów. Nasz przyrodnik we wzorowem cesarsko-królewskiem gimnazjum lwowskiem, — mimo że nawet krewny mojej rodziny, — nie uznawał innego u m i e n i a przyrody, jak tylko napamięć.

Wszystko jedno, czy to była botanika, czy mineralogja, czy zoologja, czy somatologja: Dobry w pojęciu naszego profesora przyrodnik na zadane pytanie, — powinien zawsze wstać i „wywalić“ zadaną roślinę, czy zwierzaka, czy minerał od początku do końca z głowy, bez zająknięcia, — napamięć.

Przez długie lata, — tak jakoś urządzona była ta nauka, — nie widziało się prawie ciekawszych okazów (żywych nie widziało się nigdy), tylko wszystko wyrobione z masy papierowej.

Przypuszczam, że z tego właśnie powodu nie umieliśmy nigdy botaniki. Przed godziną botaniki przynosił woźny gimnazjalny różne olbrzymie pałuby odlane z papierowej masy, jakieś dziwolągi, pały, pałeczki lakierowane różnemi pokostami.

Były to specjalnie na użytek szkolny powiększone rośliny. Pamiętam dobrze, że w tych okazach przeciętny pręcik kwiatowy miał długość i objętość wskazującego palca dorosłego człowieka, zalążnia zaś kwiatowa odpowiadała, mniej więcej — rozmiarom głowy ludzkiej. Mineralogja uchodziła w naszym programie za przedmiot jeszcze gorszy od matematyki, zoologja zaś pozostanie chyba w pamięci każdego z nas ówczesnych uczniów, nie jako jakaś wiedza, lecz jako zapach. Wstrętny kamforowo-eterowy, osobliwie uczony zapach marynowanego trupa, który szklanemi oczyma patrzy bezmyślnie w stronę znudzonej klasy.

Tak uczyliśmy się przyrody lat temu trzydzieści w najbardziej „wzorowych" szkołach średnich ówczesnych miast stołecznych.

Parę dni temu przejeżdżałem przez stare miasto Zamość, który, jak wiadomo ma bardzo niewygodne połączenia kolejowe i gdy się stąd chce dalej jechać trzeba wiele godzin czekać na pociąg następny.

Nie mając co robić z wieloma godzinami czekania, chodziłem po tem pięknem starem mieście, aż nareszcie zaniosły mnie kroki do jakiegoś dziwnego ogrodu.

Ogród wydał mi się dziwnym dlatego, że już przez parkan zanosiło stamtąd charakterystyczną wonią lisa. Ba! okazało się, że jest to, ni mniej ni więcej, tylko ogród przyrodniczy, utrzymywany przez Państwowe Gimnazjum Imienia Hetmana J. Zamoyskiego.

Historja tego ogrodu, jego perypetje, losy i dzieje są tak wzruszające, że niepodobna ich tu nie opowiedzieć.

Ogród ten jak tyle najlepszych rzeczy w Polsce, — powstał z niczego.

U nas w Polsce nazywa się to „z niczego“. W istocie powstał z najpiękniejszej rzeczy, jaka spoczywa na dnie prac i działań ludzkich, mianowicie, — z zapału, ofiarności i niezmordowanej pracy.

Czyjej?

Profesora przyrody w onemże gimnazjum p. Stefana Milera, całej dyrekcji gimnazjum, wszystkich uczniów a wreszcie, dzięki pomocy mieszkańców Zamościa, porwanych pięknym przykładem nauczyciela i młodzieży.

Na miejscu, na którem dziś złoci się w miękkiem słońcu jesieni dorodny ogród, pełen wszelakich roślin i ślicznych zwierząt, było jeszcze kilka lat temu — rumowisko.

Rumowisko to wyprosił profesor od miasta dla szkoły i wziął się tu do roboty razem z uczniami. Całą przestrzeń dawnego nieużytku odpowiednio wyregulowano, gdzie potrzeba, zniwelowano. Porobiono górki, doliny, wyproszono nawet skądś cement na baseny dla roślin wodnych, pourządzano alpejskie zbocza dla roślin górskich.

Nad wszystkiem pracowali uczniowie.

Pierwszym budynkiem tego ogrodu przyrodniczego, który „powstał z niczego“, była zdobyta gdzieś przez uczniów malowana w czarno-żółte pasy buda po okupacyjnym strażniku austrjackim.

Śmiech z tego powstał wielki w mieście i pobłażanie, oraz przychylność wielka, że to niby owa buda dawnej władzy zwierzętom teraz i roślinom ma służyć za opiekę.

Sprawy roślin rozwijały się całkiem pomyślnie, trudniej jednak o wiele postępował naprzód rozwój mienia zoologicznego. I ze względu na wielkie koszta, jakie przecież pociągają za sobą szanowne zwierzęta i na trudności nabywania takowych i na zbójnictwo między niemi.

Ileż ten ogród przebył nieszczęść, przygód, na ile strat był narażony!

Pewnej zimy, ni mniej, ni więcej, — uciekły wszystkie lisy. Ślad tej ucieczki znajdujemy w kronikach gimnazjum, — gdy profesor przyrody zawezwał młodzież do pościgu za lisami, ogłaszając równocześnie „zupełną amnestję względem wszelkich przewinień w zakres nauki przyrody wchodzących".

Kiedy indziej znów, jesienią, pojawiła się drapieżna łaska, udusiła już kilkanaście ptaszków i tydzień polowano na nią z flowerem w ręku, nim piękną, lecz tak psotną szkodnicę ubito.

Najgorszym ciosem, który zdawało się zagrozi istnieniu ogrodu przyrodniczego, była w samych początkach jego organizacji, śmierć niedźwiedzia. Na kupno tego niedźwiedzia (z zoologicznego Poznania) wiele razy odbywały się w Zamościu loterje.

Ileż tam wyśpiewano dobroczynnie pieśni, ileż poezyj wydeklamowano na tego upragnionego niedźwiedzia. Tymczasem kupiony wreszcie za loteryjno-koncertowe pieniądze miś przyjechał z Poznania do Zamościa, ale w godzinę po przybyciu — wziął i zdechł.

Małoduszni stracili już wiarę.

Cały Zamość stracił wiarę.

Nie stracił jej jednak profesor i jego dzielni uczniowie. Jeszcze raz zaczęli zbierać potrzebne pieniądze, jeszcze raz śpiewać i deklamować „na niedźwiedzia“, póki wkońcu drugiego nie kupili.

Teraz ten drugi stoi za kratami na dwóch łapach, rechoce długim ryjem, wyciąga łapy i śmieje się, — och to wiadomo, że nowy niedźwiadek umie się śmiać — do czerwonego jabłka — jak żaden inny.

W ogrodzie przyrodniczym Zamościa pracuje tylko młodzież gimnazjalna. Oni tu wszystko robią sami. Oni kopią grzędy, oni hodują zwierzęta.

Pokazali mi już borsuka, który się zaszył całkiem w słomę na sen zimowy.

Byliśmy już u lisów.

— Niech pan patrzy, — niema człowieka na świecie, któryby umiał tak jeść ser, jak ten lis.

Byliśmy już u żmij, u dzika, odwiedziliśmy rysia, którego kilku sześcioklasistów chciało hypnotyzować, — niestety bezskutecznie.

Po południu w pogodny dzień przybywa do ogrodu elita starszych miasta. Wszelacy dygnitarze sądowi, kupcy, rzemieślnicy znaczniejsi. Karmią zwierzęta, gdy można głaszczą, zawsze się do nich śmieją. A znów zwierzęta leśne, chociaż w klatkach, nie zważają na ludzi wcale. Skaczą z drążka na drążek, czy też jedzą, czy też ścielą sobie swoje legowiska.

Tak oto widzieć i oglądać tutaj może człowiek obyczaj onych stworzeń: Prosty, nie skrępowany, z wieczystych praw przyrody wywiedziony.

Inni patrzą na lisy, czy też borsuki, a mnie znów

zajęła teraz wielce owa buda strażnicza po władzy dawnej, — po starem pokonanem cesarstwie.

Wlazłem do środka budy, przysiadłem na ławeczce. Z wyciętego w bocznej ścianie okienka widać zieleń trawników, rozlaną daleko, rumianą od jesiennego słońca.

Z tej właśnie budy strażniczej obca władza i przemoc nieznośna patrzyła na tę zieleń.

Więc tak się to układa, widać, na tym świecie: Ażebyś mógł nareszcie zasiąść u siebie, w swoim własnym kraju i tu leśne zwierzęta przygarniać i trawniki postrzygać i stare drzewa chronić — musiałeś przedtem jakowąś przemoc obcą pokonać wśród tylu krwawych walk!

Wszyscy zapomną kiedyś o tych walkach! I to dopiero będzie może najpiękniejsze: Niewole, krzywdy, sądy — zdadzą się wówczas rzeczą o wiele mniej ważną, niż, chociażby ta grzywa liści dzikiego wina, wzburzona teraz nad budą dawnej władzy.

I może już nie więcej o tem w ludzkich myślach zostanie, niż wie o onych sprawach młody niedźwiadek, któremu właśnie teraz pan dyrektor gimnazjum Lewicki daje czerwone jabłko.

IMIENINY OJCZYZNY

U nich wygląda to teraz inaczej, a u nas było zupełnie co innego. Coś tak innego, że dziś trudno dla określenia tych różnic znaleźć odpowiedni wyraz.

Gdy jednak mowa o tem, jak było u nas, trzeba się jeszcze ugodzić, gdzie u nas? Pod Rosjaninem, Niemcem, czy Austrjakiem?

Jak było, na wypadek takich imienin uroczystych, czy takiej państwowej uroczystości pod Rosjaninem, lub Niemcem, — wiadomo.

Było strasznie. Ale w straszności tej tkwiła może jakaś żywiołowa moc, coś ogromnego w swej wielkiej potworności. Poprostu — zbrodnia. Czarna, ponura, niewątpliwa zbrodnia.

Pod Austrjakiem nie czuło się tak bezpośrednio owej zbrodniczej siły, lecz zato, — coś gorszego, podstępniejszego.

Takie imieniny ojczyzny, państwowej austrjackiej ojczyzny, w Małopolsce więcej może demoralizowały młodzież, niż w zaborze niemieckim, czy rosyjskim.

Gdy bowiem w tych dwóch zaborach Polacy nie brali udziału w uroczystości, lub, mniej więcej, zmu-

szani siłą, w Małopolsce brali udział w takowych okazjach, jakkolwiek również niezawsze z ochotą.

I to było potworniejsze od wszystkiego. Przecież niejednokrotnie tłumaczyli nam panowie dyrektorowie i panowie profesorowie, że jednak dobry cesarz to a to dał i wciąż daje Polsce. Lub jeszcze da w przyszłości.

My, ówczesne uczniaki w granatowych mundurkach, nie mogliśmy zrozumieć wówczas rzeczy najprostszej a jednak chyba zasadniczej, mianowicie: Jaki właściwie zachodzi związek między różnymi naszymi dawnymi królami w koronach, berłach, kontuszach, z różnymi wodzami w konfederatkach, burkach, orlich piórach — i nagle, — z tym generałem w białym mundurze, z tym generałem, który nazywa się po niemiecku, jest cesarzem austrjackim a mimo to ma być kochany przez Polaków.

Podczas takich uroczystości profesorowie nasi wstydzili się samych siebie i nas i murów szkolnych. Czuło się, że właściwie wstydzą się całego świata. Ale udawali, że wszystko jest w porządku. Nietylko w porządku, — lecz nawet świetnie.

I to było potworne, najsmutniejsze, niepojęte: Owa przepaść, która powstawała wtedy pomiędzy nami a naszymi nauczycielami!

Śledziłem niedawno z zapartym oddechem, — ja, właśnie wychowanek dawnego c. k. gimnazjum małopolskiego, recte galicyjskiego, — przebieg uroczystości z 11/XI w najniższej klasie państwowego gimnazjum w Warszawie.

Wyniosłem z tych obserwacyj naukę, którą głoszą

wszystkie wypisy całego świata, a więc która, jako oczywista, — nie jest wcale łatwo dostępna, choć się ją jako najprostszą zawsze do wierzenia podaje.

Wyniosłem z tych obserwacyj naukę, — że jednak istnieje na świecie sprawiedliwość historji.

Imieniny Polski (chłopcy z tej klasy tak nazywają uroczystości związane z dniem 11/XI) poprzedziła ta właśnie klasa gimnazjum, o której mówię, wielką naradą z wychowawcą.

Wychowawca przyszedł na godzinę wychowawstwa i zapytał się chłopców, — co robić? Idzie wielka uroczystość, uroczystość ta oznacza to a to (pytam, — co mówił wychowawca, — że co oznacza? Chłopcy odpowiadają, — no, że tak, że Polska zwyciężyła nareszcie — i wzruszają ramionami) — więc co robić?

Coś trzeba zrobić!?

Zaczęli doradzać różne rzeczy, między innemi jeden z malców doradził, że trzeba „wobec tego“ powiesić portret Marszałka Piłsudskiego w klasie.

Radę tę przyjęli inni chłopcy okrzykiem, — niech żyje!

Ale jaki portret?

Czy zwykły?

Czy za szkłem?

Czy kolorowy?

Czy w całym mundurze z wszystkiemi orderami?

Czy legjonowy?

Rzecz oparła się o kasjera klasy.

Kasjer klasy jest dla mnie postacią mityczną. Jest to jakiś przedziwny człowiek, który włada pieniędzmi, to

znów liczy głosy przy głosowaniu, to znów zarządza oszczędnościami, — poprostu, istne wcielenie kanclerskiego rozumu.

Kasjer w myśl uchwały miał do załatwienia: wydatkowanie sumy złożonej na portret i kupno kwiatów, — żeby portret goło na ścianie nie wisiał.

Uskładali 32 złote.

Gdy już je zebrali wyłoniła się nowa sprawa, że Marszałek nie będzie wiedział ani o portrecie, ani o nich, którzy wszakże ten portret u siebie w klasie zawiesili. A przecież warto, żeby się o tem wszystkiem dowiedział!

Co robić?

Praca, — narady, — cały sejm.

Ostatecznie uchwalili, by 11-go listopada iść do Belwederu z napisanemi poprzednio listami do Marszałka.

Smarowali te listy łapami czarnemi z atramentu i naogół napisali bardzo mądrze, w odręcznych pismach swych dziękując Wodzowi za zwycięstwo i za opiekę nad gimnazjum.

W przeddzień święta polecieli całą gromadą wybierać portret.

Tu nowy kłopot, kłopot od którego kasjer mało się nie rozchorował. Uznali, że portret godny ich klasy musi kosztować nie 32 złote, lecz 74.

Ten za 74 okazał się dopiero godnym klasy i wogóle, — żadnego porównania z tamtym za 32!

Postanowili obciążyć się dalszemi podatkami i jednym zamachem kupili portret godny, za 74 złote.

Drogi, kolorowy, za szkłem.

Na uroczystość zawieszenia portretu zaprosili swego dyrektora.

Uroczystość miała się składać z trzech części. Powtarzam wedle ścisłej relacji. Pierwsze: Portret. Drugie: Kwiaty. Trzecie: Deklamacja.

— Jaka deklamacja?

— Jakto jaka? Całkiem proste. Oczywiście — Reduta Ordona.

Tu znowu — kasjer. Okazało się, że w ostatniej chwili zupełnie zapomnieli o kwiatach.

Kasjer w ostatniej chwili musiał gdzieś lecieć, jeszcze z jednym, swoim pomocnikiem, na łeb na szyję po kwiaty. Ale — na szczęście — zdążyli.

Uroczystość odbyła się wspaniale. Zawieszono portret Marszałka „wobec kwiatów"; były krótkie przemowy, potem deklamacja Reduty Ordona, a że był w klasie przy tej deklamacji sam dyrektor, więc żaden z chłopców nie śmiał przez cały ciąg Reduty ani przedrzeźniać ani nic gadać.

W dzień 11 listopada byli też całą klasą w Belwederze. Jak się tam docisnęli, jak sobie tam dali radę?

Okazuje się, że doskonale. Wpisali się do księgi pamiątkowej, każdy pokolei a potem obejrzeli różne śliczne rzeczy, które Marszałek dostał.

Może dostał tego dnia a może już przedtem dali Mu to jacyś porządni ludzie? W każdym razie, — twierdzą chłopcy, warto być Marszałkiem. — Mówię ci, że warto. On tam ma!! Żeby tak chciał to kiedy oddać do zabawy! Poprostu skarby.

Co ma?

Ma całą armję wyrzeźbioną z węgla, piechotę, artylerję, kawalerję, nawet saperów, a nad tą armją, — także z węgla, — portret Marszałka.

Nielepszy od naszego, ale niezły.

Potem ma — taki tank, rzeźbiony z żelaza. Masę rzeczy ma! Prześlicznych rzeczy!

Takie było nasze dzieciństwo, — a takie znów dzisiejsze ich: My pamiętamy jakiegoś obcego człowieka w nienawistnym mundurze, o którym mówiono nam z krzywym, bolesnym uśmiechem na niechętnych ustach.

Oni zaś, nasze dzieci, biegają za-pan-brat po przedsionkach Wodza, wpisują Mu kulasami swe nazwiska do księgi pamiątkowej, zamęczają Mu tam tego sierżanta, czy oficera w adjutanturze, i wychodzą — o historjo nauczycielko życia, — z jasnem prostem przeświadczeniem, iż wszystko, Imieniny Ojczyzny i Wódz, na to właśnie istnieje, by Mu się mogli pochwalić swem gimnazjum!

WYSTRZEGAĆ SIĘ NAUCZYCIELÓW?...

Do mego pokoju nie można wchodzić bez pukania. I nie można kręcić się po przedpokoju, który przylega do mego pokoju. I drzwi prowadzące dalej do salonu a drugie do jadalnego muszą być zamknięte. A tych zamkniętych drzwi nie wolno też używać tak, jakby chciały ich używać oba Aciaki.

Nie wolno na tych drzwiach uprawiać dżiu-dżitsu (czy wiesz, że japończyk uderzeniem dłoni rozwala na pół deskę?!) nie wolno trafiać w klamkę ciosami rękawicy bokserskiej, nie wolno walić w te drzwi trapezem, ani kołkami.

Tego wszystkiego nie wolno.

Mimo to słyszę ciągle, co się dzieje w pokoju Aciaków chłopców, lub nawet w bliższym salonie.

Odbywają się tam wielkie prace, a głos ich przenika aż do mnie.

Czyż nie słychać zażartego tarcia laubsegi?

Czyż nie słychać burczenia papierowych, srebrną pozłotką oklejonych, samolotów?

Z donośnym brzękiem i szumem, powodowane umie-

jętnie ręką moich chłopców wyczyniają te samoloty niezliczoną ilość beczek, korkociągów, lupingów i t. p. Teraz zaczyna się coś znacznie groźniejszego od szybowania samolotów.

Wiem, co to jest, wiem! Salon stał się terenem narciarskim, i taflą lodu. Przez podwójne drzwi słyszę przecież wyraźnie szczęk łyżew, harataninę i trzask nart i gwałtowną dyskusję sportową.

Pomyśleć, że tak dobrze chciałem się dziś asekurować przed tem wszystkiem! Uświadomiłem obu moich chłopców, co do powagi rocznicy, którą przeżywamy, ba, dałem im dziś rano Powstanie Listopadowe Artura Śliwińskiego.

Dałem im Śliwińskiego na ich własne żądanie.

Nie chcieli czytać żadnych przygód, awantur, Krakusów, ani innnych bezmyślnych „kawałów“.

— Nie dawaj nam jakichś tam przygód, tylko prawdziwą historję.

— Nie zrozumiecie.

— Zrozumiemy doskonale. Ty nawet nie wiesz, co my rozumiemy.

— Nie wiem? To doskonale. — I dałem im Powstanie Listopadowe Śliwińskiego.

— Przeczytajcie sobie, choćby dzisiaj po południu. Właśnie dziś najlepszy czas dla takiego zajęcia. Będziecie czytali to samo, co się akurat działo temu lat sto.

Ale nie czytają, tylko jeżdżą po dywanie na nartach. Dobrze, że nie na łyżwach. Słyszę zdaleka wciąż tensam okrzyk:

— Zrób Telemarka!

Pracuję, piszę, a równocześnie drżę o los porcelanowej papugi, która stoi w kącie salonu. Ten Telemark przyprawi ją z pewnością wkońcu o utratę łba.

Nagle wszystko ucichło. Jak długo panowała ta cisza nie pamiętam. Upaliłem już spory kawałek swej roboty.

Aż oto słyszę piekielny szczęk w przedpokoju, otwierają się z łoskotem drzwi jedne, drugie, trzecie!

Chłopcy wpadli do mnie w strzeleckich czapkach, obwieszeni przyborami gimnastycznemi. Na jednej nodze łyżwa, — narty i związane razem rękawice bokserskie przerzucone przez plecy, za pasem szabla i rewolwer.

Szczęk, hałas, — obaj naraz gadają, w ręku otwarta książka, — w rozpłomienionych oczach oburzenie.

Ale jakie! Pioruny oburzenia sypią się z roziskrzonych źrenic.

— No, wiesz! — krzyczy jeden z Aciaków, zwany powszechnie zdobywcą, — ten Skrzynecki, ten twój Skrzynecki, to jest przecież patentowany skandal!!!

— A Prądzyński!? — dodaje śpiesznie drugi Aciak, zwany humanistą. — Dlaczegoż nie wziął sobie poprostu dowództwa? Mógł śmiało brać, nie pytać wcale! Brać i wcale nie pytać!

Gadają jeden przez drugiego zrzucając z siebie po drodze narty, łyżwy, rękawice. Zostali już tylko z jakiemiś młotkami i krzyczą dalej:

— Patentowany skandal!! To to jest wódz, który szuka swego wojska?! To to jest wódz?! Więc naturalnie, że zostali pokonani! Czy ty wiesz, że Prądzyński umawiał się potem z Moskalami na zawieszenie broni! Sam się umawiał!

Co rzekłszy rżnęli Historją Powstania Listopadowego w niebieskiej złoconej okładce — o kanapę.

Na to ja, odczekawszy: — Tak jest, oni przegrali tę wojnę. Tak, tak, to była straszna klęska.

— Skandal, skandal, — skandal!!

Na to ja: — Zaraz, zaraz. Czy pamiętasz, jak dwa lata temu, kiedy byliśmy w Zakopanem, wyskoczył niespodziewanie pies na hali za Kopieńcem? I jak wtedy obaj uciekaliście? Trzeba pamiętać, że Oni bili się mężnie, mimo, że, wyskakiwały na nich o wiele groźniejsze rzeczy, niż jakiśtam głupi pies owczarski. Po drugie: Czy pamiętacie, coście wyrabiali parę miesięcy temu u dentysty?... No, a Oni narażali się na cierpienia, wobec których dentysta byłby rozkoszą. Pamiętaj, jeden z drugim, kiedy zaczynasz sądzić taką naprzykład wojnę, pamiętaj choćby tylko o tych dwóch faktach: Ten pies wtedy na hali za Kopieńcem i dentysta...

— Ale Skrzynecki?!

Mówię o cierpieniu i trudach żołnierzy, wspominam, że ten sam Skrzynecki był bohaterskim oficerem, narażał życie. Mówię też i o mękach całego narodu.

— Więc zgadzasz się na Skrzyneckiego?!

— Nie, — odpowiadam, — nie zgadzam się.

Chłopcy zbierają narty, łyżwy, wciągają zpowrotem bokserskie rękawice, wdziewają na siebie skomplikowaną uprzęż sportową.

Historję Powstania zostawili na kanapie.

Już mają wychodzić, gdy nagle jeden, właśnie ów humanista, zwraca się do mnie i z dziwnym, zaiste półpobłażliwym, półtajemniczym uśmiechem, mówi:

— A wiesz? Teraz trzeba się bardzo wystrzegać nauczycielów!

— Niby dlaczego?

— Bo zostały wynalezione pewne okulary, — że taki nauczyciel patrzy przed siebie a widzi zboku i ztyłu. Bardzo się trzeba wystrzegać nauczycielów...

— Ale niby co widzi?

— Widzi. Widzi ciągle różne niepotrzebne rzeczy.

— Gdzieżeś to znowu wyczytał?

— Hoho! — Zaśmiali się, wzruszyli ramionami i poszli. Poszli, wlokąc za sobą jakieś skówki, żelaza, rzemienie, sznury, szable i bokserskie rękawice.

Co miała znaczyć apostrofa o nauczycielach?

Czy to było tylko wspomnienie czegoś przeczytanego? Czy też istotnie, — tajemnica nowej, młodej siły, zakryta już przed nami na zawsze pobłażliwym uśmiechem przemilczenia?

POSŁANNICTWO PTASZNIKA Z TYROLU

CZYLI MOŻLIWOŚĆ POJEDNANIA Z PROFESORAMI

Motto: Dziekanem jestem ja
Wysoka ranga ta!
Mnie rozum tryska z lic
Choć nikt nie widzi nic!

Ptasznik z Tyrolu, akt II, duet dwóch profesorów.

Wydarzenie, które tu opisuję, działo się tak dawno, że zaiste nie warto wyliczać lat. My, uczestnicy tej ważnej okazji, znajdujemy się dziś na tak zwanych stanowiskach, a więc jesteśmy już dość daleko po drugiej stronie góry.

Tymczasem wtedy, — wtedy byliśmy małymi chłopcami, chodzącymi do pierwszej klasy szkoły ludowej.

Ważna okazja, którą wspominam tutaj, przydarzyła się w Zakopanem. Do Zakopanego jeździło się wówczas nie tak, jak dziś.

Od Chabówki — furką. Furką, która wlokła się osiem godzin. Przed Obidową goście wysiadali, by ulżyć koniom.

Ponieważ matka moja bała się burzy i piorunów, więc naturalnie przed Obidową niebo zachmurzyło się,

a u samej już przełęczy złapały nas grzmoty, błyskawice i pioruny.

Musieliśmy przeczekać aż burza minie.

Nie sądzę, by matka moja znała się zbyt dobrze na prawach elektryczności. Pamiętam, że przerażeniem ją napełniło (ze względu na niepojętą wówczas dla nas siłę przyciągania) wątłe żelastwo góralskiej furki, mogące przyciągnąć pioruny.

Już z powyższych wspomnień czytelnik przekona się, że dość dobrze pamiętam incydenty, związane z pierwszym pobytem naszej rodziny w Zakopanem.

W parę dni po przyjeździe do tej czarownej miejscowości, zdarzyło się, co następuje: Poszliśmy wszyscy razem do Kuźnic.

Wszyscy razem, to znaczy: Nasz ojciec i nasz stryj, Ernest i, — naturalnie, — my wszyscy, to znaczy synowie mego ojca i synowie stryja Ernesta.

Wyruszyliśmy na popołudniowy spacer.

O czem mówili starsi, rzecz prosta, nie pamiętam. Cóż nas to wtedy mogło obchodzić? O ile sobie przypominam, zdawało się nam zawsze wówczas, że starsi rozmawiają o rzeczach, które nikogo nie zajmują.

Już na powrotnej drodze do domu zaczęliśmy wszyscy (to jest my, chłopcy) narzekać na dotkliwy głód. Było to całkiem zrozumiałe, w połowie drogi bowiem, między Kuźnicami a naszym domem, była cukiernia.

Zmusić rozmawiających starszych, by zwrócili uwagę na nasz głód i na cukiernię nie było rzeczą łatwą i, — wyznam szczerze, — niezawsze się to udawało. Trzeba była długo i wyraźnie jęczeć.

Jęczeć, przypominać, mówić o co chodzi, potem znów udawać, że niby nic, a potem znowu pojękiwać.

Tego właśnie dnia sprawa udała się lepiej, niż mogliśmy byli przypuszczać.

Na którymś zakręcie gościńca ojciec i stryj powiedzieli razem, jakby się przedtem zmówili: — Dostaniecie tych ciastek, ale dajcie nam teraz święty spokój.

Istotnie dostaliśmy tych ciastek, po dwa każdy: Jedno z kremem, drugie z francuskiego ciasta.

Dostawszy aż po dwa, odeszliśmy od starszych. I tu jeden z synów stryja Ernesta wpadł na niezwykły pomysł: Ogłosił turniej na to, komu dłużej starczy ciastek przez drogę. Ale nie, — żeby je tylko nieść.

Kto potrafi jeść tak oszczędnie, by mu najdłużej starczyło?

Ja, — ma się rozumieć, — pomyliłem kolejność. Zamiast jeść najprzód kremowe, zabrałem się do francuskiego. Więc tu jem bardzo powoli to francuskie, a tymczasem krem (na słońcu, — była śliczna pogoda) leje mi się po palcach. A nie mogę uporać się prędko z tem francuskiem, bo przecież biorę udział w turnieju na długość jedzenia.

Doszło ostatecznie do tego, że szliśmy w pięciu, nic do siebie nie mówiąc, z ostatnim kęsem rozpływającym się w ustach.

Niewiadomo, na czem skończyłaby się ta sprawa, gdyby nie młodszy syn stryja Ernesta. Ten syn stryja Ernesta, ni z tego ni z owego powiedział nagle, że nie bawi się już w żaden turniej — i pożarł łapczywie swój kęs ostatni.

Wtedy wszyscy zrobili to samo.

Znowu nareszcie mogliśmy rozmawiać i nikt nie był pokonany w turnieju. Napełniło to nas ogromną radością. Z radości tej zaczęliśmy śpiewać pewną piosnkę, którą, czekając u siebie w pokoju na chorych, śpiewał często mój ojciec.

Pamiętam dotąd wesołą melodję i śmieszne słowa tego kupletu.

Słowa szły tak:

> Dziekanem jestem ja
> Wysoka ranga ta!
> Mnie rozum tryska z lic.
> Choć nikt nie widzi nic!

Po szczęśliwem zakończeniu turnieju ciastkowego śpiewaliśmy to, każdy zosobna i potem razem na dwa głosy.

Myśmy śpiewali, a starsi szli obok nas i rozmawiali.

Wtem nagle stryj Ernest zatrzymał się, zaczerwienił, machnął laską i krzyknął: — Cóż to znowu za takie głupie śpiewanie? Ani mi się ważyć więcej śpiewać tych obrzydliwości! Ja ci tu dam, jeden z drugim. Czy wiesz, co to jest dziekan? Smarkacze jedne!

Struchleliśmy.

Struchleliśmy z dwóch powodów. Po pierwsze dlatego, że stryj zaczerwienił się z gniewu i nie było wątpliwości, iż jest, — tak określaliśmy wówczas owe stany ducha, — „wściekły“.

Po drugie struchleliśmy dlatego, że stryj Ernest nigdy się naogół nie wściekał. Wiedzieliśmy, że jest

uczonym chemikiem, jakimśtam docentem, profesorem szkoły handlowej i przemysłowej i jeszcze dyrektorem: że jest jakby poczwórnym profesorem!

Staliśmy w przerażeniu, nie wiedząc co robić, bo w oczach stryja wciąż migały błyskawice wściekłości. Niewiadomo, na czem skończyłoby się to wszystko, gdyby nie mój ojciec.

Ojciec zdjął nagle kapelusz, poprowadził ręką po włosach, uśmiechnął się i zwróciwszy się do stryja Ernesta, rzekł:

— Przepraszam cię mój drogi. Przepraszam cię bardzo, ale właściwie czemu krzyczysz?

Błyskawice z oczu stryja znikły.

— Zastanówże się Erneście. Bój się Boga, człowieku? O co ci chodzi? Czy rzeczywiście uważasz, że twoja godność uczonego została tu obrażona nagle? Więc uważasz, że to taka ogromna, ważna godność: Profesor, — docent, — dziekan. Tu las, góry, pogoda, tu sobie ci śpiewają, ale cóż, wszystko nanic, bo godność profesorska, poczuła się obrażoną. O to chodzi?

Na to stryj Ernest stanął na drodze, kapelusz odsunął wtył głowy, rozejrzał się wokoło, jakby go nagle ze snu coś rozbudziło i rzekł: — A wiesz, że rzeczywiście, poczułem się obrażony.

Wybuchł nagle młodym radosnym śmiechem.

Mój ojciec za nim.

Potem nas zawołali. Stanęliśmy parami, bracia z braćmi a ojcowie w ostatniej parze. Stryj sam (był bardzo muzykalny) doskonale dyrygował laską. I razem,

przez cudne słońce letniego popołudnia, śpiewaliśmy po drodze do domu, aż echo leciało po górach:

Dziekanem jestem ja
Wysoka ranga ta!
Mnie rozum tryska z lic
Choć nikt nie widzi nic!

POŚRÓD OTCHŁANI

Ale ja widzę bardzo dobrze, że to już nie jest wcale ta sama zabawa!

Zabawa, nawet cicha i najcichsza jest zawsze we dwóch i zawsze z jakim takim hałasem. Nikt jednak dla jakiej takiej przyjemności nie stanie przy oknie, by wiercić dziury starym świdrem w zaschniętym, skamieniałym kicie ramy okiennej. I nikt dla zabawy nie zrobi tego: By zmierzwić sobie włosy, odłożyć świder i przykładać policzek do szyby, dlatego, że jest zimna.

I nikt dla samej zabawy nie będzie ciągle odrzucał jednego, by łapać drugie i znów rzucać. Tu niby gra bolero na fortepianie — i przerwał. Tu niby zaczął czytać — i już wcale nie czyta. Tu niby z kawałkiem czekolady i z kartami wylazł nagle na szafę, aby pograć z samym sobą w pikietę — i nie gra już i złazi z dużej szafy i zapatrzony siada na brzegu kanapy.

Któż powie, że to wszystko należy do zabawy?

A czy to jest przyjemnie? Kręcić w palcach koniec sznurka od story i siedzieć na wielkiem karle w kącie, — jakgdyby się czekało na samego siebie? Na tego

weselszego, który bawił się, gonił, czytał, grał w pikietę na szafie, — a teraz zapodział się.

Cóż można robić? Zajść do stołowego, — do kuchni, — i znów do stołowego. Aby nakoniec zdobyć się na odwagę wejścia do pokoju ojca i powiedzenia, — już bez względu na wszystko, co się potem stanie:

— Tatu, mnie boli ząb.

Odpowiadam odrazu: — Ha! Czy rzeczywiście?

„Ha, — rzeczywiście“ zawołane było tak dziarsko. Jakże się nie uśmiechnąć? Aciak się śmieje, — ale bardzo niepewnie.

W niebieskich oczach zabłysł promień radości, — i znikł, zalany łzami.

— Mnie boli ząb naprawdę.

Musieliśmy się objąć z tego powodu i tak potrwać długą, smutną chwilę.

Głowa Aciaka spoczywa teraz na wyłogu mej bluzy i zimnym jedwabiu krawatki.

Na brzeg biurka upadły łzy. Jedna po drugiej. Słychać je tak wyraźnie. Jakby wraz z niemi upływała z Aciaka wszelka, wszelka wesołość.

— No, to musimy pojechać do dentysty.

— To straszne!

— Nie jest to nic strasznego. Pokaż. Stań tu, przed oknem. Któryżto ząb? Już widzę, który. Ten w dolnej szczęce.

W dolnej szczęce stoją szeregiem zęby, jeden obok drugiego, niby na tle różowem szlifowane kamyczki białe. Jeden z nich jest ciemniejszy, ma małą siną dziurkę.

— Doskonale, że w dolnej — powiadam. — Założę ci tam watę z jodyną i zobaczysz, że przejdzie.

Idziemy do łazienki.

Aciaczek ufa mi tak szczerze, że podąża już z otwartemi ustami, gotowemi zawczasu do przyjęcia najodynionej waty.

Stoi tak przy stoliku i, jakby z ponad samego siebie patrzy mi w oczy.

Założyłem już watę. Powiadam: — Zobaczysz, że to przejdzie.

Czeka, słucha, rozgląda się wokoło. Jakgdyby nadsłuchiwał co też się stanie z bólem.

— Nie boli! Teraz pojadę jeszcze na rowerze. Do szoferów!

— Jedź do szoferów.

Nie powiedzieliśmy nic więcej o tem, rozumiemy się świetnie: Aciaczek jedzie do szoferów, na róg ulicy, gdzie mają postój cztery samochody. Jedzie tam, by podtrzymać nagłe ozdrowienie, a także, by działanie waty utwierdzić tą największą radością, którą daje siedzenie z szoferami.

Niema większej radości! Przyjeżdża się, opiera rower o brzeg chodnika; zasiada się wygodnie przy szoferze i czekając na gościa, rozmawia się o autach.

O Minerwie, Packardzie, Fordzie, Hispano-Suizie i Rols-Roysie.

Nagle przychodzi gość!

Wyskakuje się z auta i na rowerze odprowadza się znajomego szofera do następnego rogu.

A dziś?

Odprowadza się gościa na rowerze, do rogu tych dwóch ulic, gdzie stoi policjant, wraca się, siada z drugim szoferem do tak ważnej rozmowy i znów przychodzi gość i znowu odjeżdżają i jedzie się za nimi do skrzyżowania ulic, skrapiając asfaltowaną jezdnię bezsilnemi łzami.

Ząb boli, — nic nie pomogła wata i nie pomogło tak miłe towarzystwo!

Powraca się do domu. Rower ciąży, jak nigdy.

A drugi Aciak, humanista, wcale się nie wzrusza.

— Gdzieś był, — powiada, wlepiając nową kolekcję marek kolonjalnych do cennego albumu. — I cóż szoferzy? I czemu nic nie robisz, właściwie?

Że — ząb.

— Nieprawda! — woła humanista. — To tylko takie marne udawanie. Polowanie na ciastka. Bujda!

Oddawna jest przyjęty w naszym domu obyczaj, że po zabiegu dentystycznym idziemy na ciastka. Do największej cukierni w samym środku miasta, gdzie byly pacjent rozsiada się wygodnie i sam ma prawo zadysponować sobie, co mu się podoba, chociażby to być miały lody, albo kawa mrożona w zimie, czy w trzaskający mróz.

— Tak, tak to zwykła bujda, — polowanie na ciastka!

W koleżeńskich stosunkach jest to przecież wyzwanie do walki. Dziś jednak Aciak linjowy i zdobywca — ustępuje.

Ledwie zdążył powiedzieć, — jesteś idjota, — i zalał się cichemi łzami.

Wyszedł z swego pokoju do salonu. Byłbym nie wiedział, że tam siedzi, gdyby nie kilka tonów fortepianu. Bardzo dziwnych. Bez prawej ręki, sam tylko akompanjament do bolera.

I znowu nic — i cisza.

Cóż się tam wkońcu dzieje w tym salonie?

Jest ciemno, lecz poprzez blask ulicy widać, że Aciak-zdobywca rozsiadł się przy stole.

Zapalam światło. Aciak siedzi z gruszką w jednem, ze scyzorykiem w drugiem ręku. Nie zaczął jednak nawet obierać gruszki. Z oczu mu płyną łzy. Brodę oparł na zimnej politurze stołu i równomiernie podnosi górną część twarzy, jakby łapał powietrze.

— Cóż ty robisz? — pytam stroskany.

— Nic. Ćwiczę górną szczękę, żeby nią samą ruszyć, bez udziału dolnej.

— Nie można ruszyć samą tylko górną szczęką.

— A może można?

Zostajemy tu we dwóch, na kanapie, przed stołem, na którym graliśmy tyle razy w szachy a na którym, w miejscu gdzie dawniej stała szachownica, błyszczą okrągłe łzy.

Trzeba więc porozmawiać, ostatni to ratunek. Nieraz przecie udawało się nam za pomocą rozmowy rozgonić chmury tak ogromnych zmartwień.

Dziś trzeba mówić o rzeczach najważniejszych: O Porthosie, o d'Artagnanie, o królu, któremu nałożono żelazną maskę. O tem, ile umiał wytrzymać taki wytrawny rycerz.

Umiał wytrzymać wszystko. Ha! — I to jak!!

Przeszliśmy zaraz z tego na Gerbault'a. Podróż po oceanie.

Z tego przeszliśmy znowu — wogóle na ocean. I na to, ile taki żaglowiec szkolny, marynarski, musi mieć lin? Kilkaset w całem ożaglowaniu. Najmniej kilkaset a każda ma swą nazwę. Nie będą przecież w czasie burzy wołali — zwijaj tę osiemnastą linę tam z brzegu z prawej strony.

Wówczas Aciak-zdobywca, złożywszy nagle głowę na mojem ramieniu: — Ja wiem, tyś już telefonował do dentysty....

— No tak...

Siedzimy obok siebie a równocześnie, jakgdyby dzieliły nas tysiące mil, tysiące mil tej jednej myśli — o szczypcach dentystycznych...

— Ba, — powiadam, — idziemy rano. Możemy nawet, ewentualnie, pojechać samochodem.

— Wolę jechać tramwajem.

Z otwartych drzwi wpada Aciak-humanista i wymachując ręką, polepioną markami, podobną raczej do jakiejś fantastycznej pletwy, woła: — Co on tu gada?! Naturalnie, że lepiej samochodem! Zabierzcie i mnie także.

Pojechaliśmy nazajutrz rano, bez humanisty, z którym nie wiele brakowało, aby doszło do bójki.

Jedziemy jedną, drugą ulicą, tramwaj dzwoni, ludzie wsiadają, wysiadają, Aciak-zdobywca, który przecież zawsze w czasie jazdy „pomaga“ i samemu tramwajowi i wszystkim ludziom i całemu ruchowi ulicznemu, — teraz, jakby nie widział niczego.

Patrzy na ludzi, niczem na ciemne plamy i nie czyta ogłoszeń i nawet po olbrzymich plakatach kinowych przesuwa wzrokiem bez wszelkiej ciekawości.

Gdy się spotka nasze spojrzenie, napełniają się źrenice Aciaka uporczywym wysiłkiem. W wątłych blaskach tego wysiłku jest pobłażanie dla mnie. I jakiś wstyd, — też za mnie, — że szukam w oczach syna zajęcia się sprawami, które już nic nie znaczą.

I nic nie mogą znaczyć. I oto choć jedziemy naprzeciw siebie — jesteśmy sobie obcy.

Aciaczek został sam na sam z samym sobą i nikt mu towarzyszyć nie może w ciężkiem jego cierpieniu.

Tak, — cierpi się samotnie: Po jednej stronie cały olbrzymi świat ze wszystkiem co zawiera, — po drugiej Aciak mały w swej gimnazjalnej czapce, w jesiennym płaszczu jadący na spotkanie cierpienia.

U dentysty jesteśmy „duchowo" jeszcze dalej od siebie, niż w tramwaju. Pod oknem siedzi kilka pań, my zaś czekamy na kanapie.

Mój Aciak szepcze mi jakieś ciche, tak obojętne słowa o fotografji zjazdu dentystów, umieszczonej na ścianie, o odbitkach Grottgiera, które wiszą poniżej. Lithuania.

Któż nie rozumie treści tych obrazów!

Aciak rozumie doskonale, lecz treść owa przepływa gdzieś oddzielnie, samotna, nie zespolona z niczem.

Osobno chodzi świat, a osobno cierpienie i jedno nie ratuje drugiego.

Już weszliśmy do gabinetu. Trzymamy się za ręce.

Suchą ogromną dłonią rozłączył nas dentysta, w białym kitlu.

Dentysta mówi głośno: — Dzieńdobry, kawalerze. I inne różne mocne słowa wymawia — o cukierkach. O płukaniu, o tamtych zębach mlecznych i nowych, które wychodą już na całe życie. A Aciaka ubywa, zrobił się mały, szczupły, jeszcze znacznie drobniejszy. Jakgdyby wszystko teraz miał na sobie nie swoje: Nie swoje ręce, nie swoje nogi w żółtych sznurowanych bucikach, nie dostających podstawy fotela.

Dentysta wciąż coś mówi i chrobocze metalowemi narzędziami. Potem zadzwonił i umył sobie ręce, a potem zjawił się pomocnik, ten do trzymania głowy.

Aciak już wie....

Pochylił bladą twarz, ukrył ją w dłoniach, pomyślał i mówi nagle dokładnym szeptem:

— Tatu.

Mówi, — jak syn do ojca, — jak z jednego pokolenia w drugie wołamy, na progach losu swego, synowie ojcom naszym...

Odpowiadam, — że to nie będzie nic.

— Nic takiego, zobaczysz, — i czuję się bezradnym, jakby już w jakiejś ostatniej, najpóźniejszej starości.

Aciak unika mego wzroku, przeczy głową z uśmiechem, drżącym bezsilną samotnością.

Ten pan co trzyma głowę, — już ją trzyma.

Wówczas Aciak-zdobywca odrzuca ręce tego pana. Patrzy na nas chyba już nic nie widząc i woła głosem, który zdaje się tętnić pustką jakiejś nieznanej,

głuchej, niebywałej otchłani: — Nie chcę nikogo, — nie chcę! Ja sam!

W tej samej chwili zasłonił małą i drżącą głowę biały rękaw kitla, zakończony metalowym połyskiem... —

— Do widzenia, panie doktorze, — do widzenia.

Ząb mamy w papierku, żeby pokazać drugiemu Aciakowi-humaniście, oraz wszystkim kolegom w szkole.

— Chcesz jechać, czy pójdziemy piechotą?

— Lepiej może pojechać?

Auto.

Powiew wiatru, ulica, warkot motoru, licznik skasowany energicznie i ludzie na ulicy i jakieś auto z naprzeciwka.

— To Benc! — Nagły, jakże radosny śmiech, że to auto, — to właśnie Benc.

Cukiernia.

Tyle szczęścia, że z tego szczęścia przed szwajcarem cukierni ukłon, jakgdyby to był conajmniej nasz dyro, czyli dyrektor gimnazjum, albo może nawet jakiś minister.

Jakie ciastka?

Różowe z kremem, — trzy!

— Więc proszę pana, trzy różowe z kremem.

W spłoszonych oczach wciąż jeszcze blask otchłani ciemnej, — w ustach różowe ciastko.

Tu w cukierni i podczas całej drogi do domu i w domu szczególniejsza pokora radości skromnej a przecież tak gorącej!

W domu — całe bolero, od początku do końca.

I przeliczenie wszystkich marek w albumie. Dwa tysiące czterdzieści!

Powrót z gimnazjum Aciaka-humanisty.

Wyniki przedpołudnia: — Ząb w papierku — i trzy różowe ciastka z kremem.

A wówczas humanista: — Dałeś go sobie wyrwać naumyślnie. Mnie naumyślnie, wiem o tem doskonale.

Trzy z kremem. Zazdrość — szczęście i walka:

Cały dzień walka w najróżniejszych postaciach, — o to, że naumyślnie dał sobie ten ząb wyjąć.

Do samego wieczora, do pójścia spać, — walka, zazdrość, i szczęście — tak okropnej zazdrości.

Aż znów dopiero w nocy, znienacka, w głuchej ciszy ogromny, nagły okrzyk, jakgdyby znów tętniący zgrozą przeraźliwej otchłani:

— Tatu, — nie chcę nikogo, — ja sam!!!

Już przybiegam, już jestem.

Aciak siedzi na łóżku w ciemnem lśnieniu okiennem. Wyciąga ręce.

— O co ci chodzi? — pytam.

— Jesteś tu teraz przy mnie?

— Jestem. Ma się rozumieć.

W otwartych oczach przerażenie, do ostatniej granicy wzroku, — bez dna.

Lecz przecie jesteśmy tu u siebie, w naszem zwykłem mieszkaniu, w tym sypialnym pokoju naszym, znanym, zwykłym. Tu widać stół, tu na nim książki szkolne, tu szafa, tu rakiety i rower. I tornistry.

Puste źrenice nabiegają coraz żywszem światłem

i oto znowu spojrzenie ma już dno, — złociste dno radości.

Aciaczek podniósł ręce w powietrze, jakby z jednej otchłani przerzucał je ku drugiej, westchnął, jakże głęboko westchnął, zawołał:

— Ja nie mam na to czasu! — i już znowu spał mocnym, cudownym snem swojego życia.

DWADZIEŚCIA TYSIĘCY DZIECI!

(WEZWANIE DO WSZYSTKICH ACIAKÓW I ACIACZEK)

I

Na murach miasta wiszą od kilku dni wielkie plakaty z ogłoszeniem gwiazdkowego, mikołajkowego przedstawienia, które daje jeden z teatrów naszej stolicy dla grzecznych dzieci.

Ile razy przechodzę koło tych afiszów, wyobrażam sobie owe grzeczne dzieci na przedstawieniu teatralnem: Grzeczne dziewczynki, ślicznie zaczesane w pięknych różowych sukienkach z różową kokardą we włosach. I chłopcy, w ciepłych granatowych mundurkach, albo w bluzach marynarskich z haftowanym napisem na rękawie.

Napis głosi nazwę jakiegoś sławnego okrętu, którym, kto wie, czy ów mały chłopaczek siedzący tutaj teraz na przedstawieniu, — po wielu latach nauki nie będzie kiedyś dowodził na pełnem morzu? Kto wie, wszystko być może!

Zaczesane, umyte, wyświeżone, wesołe, grzeczne dzieci siedzą na pięknem przedstawieniu i cieszą się — i czegóż tu jeszcze brakuje?

Zdaje mi się, że brakuje tu jeszcze czegoś, o czem warto przypomnieć!

Przedstawienie dla grzecznych dzieci?

Doskonale! A dla niegrzecznych?

Jeżeli są na świecie grzeczne i niegrzeczne, — należy zapytać, które to są niegrzeczne?

Ja wiem i każdy to wie i każdy domyśla się i nie trzeba tych rzeczy ukrywać i trzeba je powiedzieć odrazu, szczerze: Niegrzeczne to te, którym jest źle.

To są te, którym brak wszystkiego! Brak im odzieży, brak im miłego mieszkania, brak im rodziców, albo też rodzice pracują tak ciężko, że nie mają czasu zajmować się swojemi dziećmi.

Ach, Boże, jakaż to bieda, niedola, — rodzice, którzy nie mają czasu dla swych dzieci!

To są chyba te niegrzeczne: Które latają po podwórzu, po ulicy, w starych przemoczonych bucikach, w porwanej katanie, owiązane dziurawym szalem matki. To te, którym nikt nie da dobrego słowa, potrącane, szturchane, ach tak, jakgdyby niepotrzebne.

Czy może być coś smutniejszego na świecie: — Myśleć, że się jest nikomu niepotrzebnym. Myśleć, że się wszystkim innym zawadza.

Dlaczego właśnie teraz piszę o tem wszystkiem?!

Dlatego, że zbliża się Boże Narodzenie i Gwiazdka.

Wierzę przecież w tak zwaną moc drukowanego słowa. Wierzę, że drukowane słowo takim czy innym sposobem zdoła dotrzeć wszędzie, a więc też do młodych chłopców i dziewczynek.

Może do niewielu, może tylko do kilkunastu, do

kilku?... Ale to już wszystko jedno. Jeżeli tylko kilkoro przeczyta te słowa i przejmie się ich treścią, — osiągnąłem swój cel.

Albowiem potęga dobrego serca jest ogromna, niezwyciężona. Kilkoro dobrych dzieci, — gdy zechce naprawdę, — porywem swego serca świat może przemienić!

Więc nie pisze się tego wszystkiego tutaj ani dla dorosłych, ani dla mądrali, ani dla filozofów, ani dla wielkich urzędników. To wszystko, o czem będzie niżej, pisze się dla grzecznych dzieci.

Grzeczne to są te, które nietylko pójdą na piękne mikołajkowe przedstawienie do wspaniałego teatru. Cóżby dla nich znaczyło samo tylko przedstawienie? Dostaną przedtem swoją gwiazdkę.

Jak najlepszą! Każdy dostanie to, o czem marzył. O czem marzył od długich miesięcy. Znam chłopców, którzy marzyli już od jesieni o nartach. O samych tylko nartach. Nie przychodziło tym chłopcom na myśl, że prócz nart dostaną jeszcze całą wyprawę sportowo-narciarską.

Tymczasem, — stało się: Dostali nietylko narty, lecz grube buty, szale norweskie, okrętki, granatowe spodnie, — czy można wszystkie szczegóły wyliczyć?!

Znam innych chłopców, którzy marzyli o maszynie parowej. I teraz dostają taką maszynę parową. Maszynę, która nietylko idzie, ale świszczy, kopci, szumi, może wybuchać, — słowem coś niezwykłego!

A owe niegrzeczne, czyli biedne, czyli te, którym jest źle?

Te mają nic nie dostać?!!

Dla nich ma nie być nietylko nart, nietylko maszyn parowych, ale wogóle — nic?

W domu nikt im nic nie da, bo ten dom jest biedny. Właściwie mówiąc, — miotany jest niedolą.

Dom miotany niedolą, — takie powiedzenie brzmi fałszywie, a jednak jest prawdziwe!

Rodzice z tych małych domów, miotanych niedolą, to bezrobotni, albo tacy, którzy ledwie wiążą koniec z końcem i ledwie im wystarcza na wyżywienie!

Czy mogą tacy ludzie urządzać Gwiazdki? Skąd? Za co?

Ileż takich dzieci, dla których mogłoby nie być Gwiazdki w Warszawie?

Jest ich w Warszawie kilkadziesiąt tysięcy!

Myślcie teraz ze mną wy wszyscy młodzi chłopcy i dziewczynki, o których myślę, pisząc te smutne słowa: Siedzicie w jasnych pokojach, cieszycie się gwiazdkowemi darami, a tamci, mimo, że idzie właśnie szczęśliwa pora Gwiazdki, — mają biegać po ciemnych podwórzach i nic dla nich nie będzie, żadnego daru, żadnego szczęścia, żadnej radości niespodzianej, szalonej, tak okropnie potrzebnej do życia, tak miłej i koniecznej?!

Otóż nie będzie tak i nie jest już! Nie dziwcie się, że właśnie z racji Gwiazdki mówię tu nagle o organizacji. O czemś niby poważnem, o czemś, co może się wydać rzeczą nudną. Nie jest to wcale nudna rzecz. Ba, wprost przeciwnie, — rzecz bardzo ważna, cenna, doskonała:

Istnieje w Warszawie Rada Szkolna Miasta War-

szawy. Przy tej Radzie Szkolnej istnieje Komisja Opiek Szkolnych. Przy tej komisji istnieje Opieka Społeczna nad Dzieckiem Szkół Publicznych Powszechnych.

Nic sobie nie róbcie z poważnych nazw. Trudno, wkońcu najprostsze i najpotrzebniejsze rzeczy muszą się jakoś nazywać. Może lepiejby było, żeby się to nazywało: *Dajcie im wszystko, czego potrzebują*, ale dorośli muszą zawsze nazywać rzeczy najprostsze tak zawile.

Nie chodzi przecież o nazwę, — a o Gwiazdkę.

Opieka Społeczna urządza właśnie Gwiazdkę dla wszystkich swoich dzieci, ze wszystkich swoich szkół. Jest ich osiemdziesiąt tysięcy! Osiemdziesiąt tysięcy, w stu osiemdziesięciu szkołach.

Pomyślcie, czego tam trzeba i ile? Trzeba sto osiemdziesiąt choinek. Przybrania dla tych choinek. Trzeba darów, — darów dla osiemdziesięciu tysięcy uczniów i uczenniczek.

Choinki trzeba kupić, na to już niema innej rady. Ale dary można dostać, można pozbierać tu, tam, ówdzie.

Gdzie? Można dostać od firm, sklepów. Oni tam już wiedzą w Opiece, które firmy mają w sercu miłość obywatelską. Te firmy dają, co mogą. A inne — nie.

Są takie, — które trzech orzechów nie dadzą.

Więc dają firmy, — i poszczególni ludzie. Czy chcecie należeć do ludzi, którzy, niby owe firmy zachłanne, — trzech orzechów nie dadzą?

Innemi słowy, trzeba się jak najprędzej brać do roboty: Posyłać tam do Opieki Społecznej, posyłać wszystko, co tylko można.

Wszystko, dużo i jak najprędzej. Przecież macie tego

po domach mnóstwo. Rzeczy, których żałujecie i których nie żałujecie. Posyłajcie i takie i takie. Klocków, fortec, żołnierzy, lalek, starych misiów, naczyń drewnianych do piasku, różnych gier, kręgli, różnych domino i diabolów i piłek — nie macie to tego w różnych kątach i w szafie i na szafie i na pawlaczach i bo ja wiem, — wszędzie to tkwi w waszych pokojach, gdzie tylko spojrzeć!

Posyłajcie to wszystko, sami zanoście!

Uprzedzam was, że wasza matka ucieszy się z początku tą myślą, a potem, gdy już trzeba będzie iść, powie, że nie ma czasu. Matki mają zawsze tyle roboty i tak są bardzo zajęte, że mogą na nic nie mieć czasu.

Wy nie nudźcie wtedy, nie dokuczajcie. Ale każdy i każda z was wie, że wystarczy spojrzeć na matkę pewnem (każde dziecko ma takie spojrzenie, gdy chce) miłem, gorącem spojrzeniem, któremu matka nigdy się nie oprze.

Takiem spojrzeniem popatrzcie na matkę, gdy powie, że nie ma czasu iść z darami do owej Opieki Społecznej.

Zobaczycie, że odrazu znajdzie czas i pójdzie z wami. Znajdzie, znajdzie, chodzi tylko o jedno szczere, kochane spojrzenie, — znam się na tem doskonale.

Jeżeli zabierzecie się do roboty, pamiętajcie, że dzięki Wam w stu osiemdziesięciu szkołach, osiemdziesiąt tysięcy dzieci znajdzie pod drzewkiem radość, szczęście i zabawę.

Pomyślcie tylko o waszej radości, gdy biegniecie pod drzewko. A potem pomyślcie o radości tych tysięcy dzieci, do której możecie się przyczynić!

Czy wyobrażacie sobie ten gwar i zgiełk pod drzewkiem, tylu i tylu szkół powszechnych? Czy wyobrażacie sobie, że dzięki wam takie same dzieci, jak wy, tak samo grzeczne, tylko biedne, które nie mają gdzie i nie mają czem się bawić: Że skakać będą do góry z radości i wieczora tego zasypiać będą z uśmiechem szczęścia na ustach?!

Więc brać się do roboty, zbierać, pakować, posyłać, a prócz tego, — uwaga na dalszy ciąg tego ustępu, gdzie się mówi o odzieży.

II

O ODZIEŻY

Pierwszą część tej epistoły zakończyłem ustępem o odzieży. Uważam, że to było rozsądne. Tak dalece rozsądne, iż słowo odzież umieszczam w nagłówku, jako podtytuł.

Rzeczy rozsądne są naogół zawsze dość nieoczekiwane. Przypuszczam, że żadnemu z was chłopców czy dziewczynek, którzy to teraz czytacie, nie przyszła nawet na myśl sprawa odzieży.

Jest to do pewnego stopnia zrozumiałe. Dla mnie, gdy byłem w waszym wieku, sprawa ta była też z jednej strony zrozumiała, z drugiej zaś niepojęta.

Jeżeli chodzi o odzież, było dla mnie, gdy byłem w waszym wieku, rzeczą zupełnie zrozumiałą, że ta odzież poprostu — jest.

Jest — i koniec.

Mogła być lepsza, lub gorsza, mogła być taka, jak

ja chciałem, lub taka, jakiej chcieli dla mnie rodzice. Ja chciałem bluzę marynarską z kołnierzem z dziesięciu poprzecznemi złotemi galonami. Tak, — conajmniej dziesięć złotych galonów. Tymczasem dostałem bluzkę z trzema białemi paskami.

Bardzo nad tem cierpiałem.

Czy mogło mi jednak przyjść na myśl, że nie dostanę ani bluzy, ani płaszcza, ani futra, ani pończoch, ani ciepłych majtek, ani trzewików, ani nawet porządnej całej koszuli? Byłoby to przecież — niepojęte!

O koszuli nie myślało się wogóle nigdy. Koszula, majtki, pończochy, to wszystko brało się, jak gdyby samo z siebie.

A tu tymczasem dzieje się taka historja, że na ośmdziesiąt tysięcy dzieci, które chodzą do szkół powszechnych stolicy Polski, dwadzieścia tysięcy nie ma się w co ubrać.

Dochodzi do tego, że ta młodzież nie może iść do szkoły, bo nie ma w czem.

Co to znaczy, — nie ma w czem?

Musimy to przemyśleć. To znaczy, że mogą tylko na chwilę, na krótko wylecieć na podwórze. Pobiegać tam i co prędzej hyc! do domu, gdyż inaczej zmarzną.

W dalszą drogę nigdzie iść nie mogą. Bo przemokną i zmarzną i zaziębią się, rozchorują i — to się może stać i to się dzieje niestety bardzo często: — Rozchorują się i umrą.

Czyż nie zdarza się wam widzieć w zimie, tak często niestety, — jak idzie pogrzeb dziecka jakiegoś! Że dziecka, — poznać po niewielkiej trumience.

Za trumną śpieszą rodzice w szarej biednej odzieży i paru kumów i nikt więcej.

Wierzcie mi, a jeżeli mi nie wierzycie, zapytajcie doktorów! Doktorzy poświadczą wam, jak wiele z tych dzieci umiera na przeziębienia.

Powracam więc do moich cyfr: Dwadzieścia tysięcy dzieci, które nie mają na zimę odzieży.

Nie chciałem temu wierzyć, bo mi się to wydało przesadzone i zbyt smutne.

Poszedłem na ulicę Hipoteczną, gdzie mieści się Komisja Opiek Szkolnych i tam powiedzieli mi, bo tam wiedzą, wypytują przez szkoły, każą nadsyłać spisy i badają te rzeczy.

Na ulicy Hipotecznej potwierdzili mi to wszystko o dwudziestu tysiącach. Oprócz tego tam właśnie powiedzieli mi urzędnicy, — co robią, aby brakowi odzieży zaradzić.

Radzą, jak mogą. Zbierają, proszą, wyciągają, skąd mogą, ale tego wszystkiego nie starczy. Dziś tak stoją te sprawy, że jeżeli uda się zbiórka, to będą mieli:

Pół palta — na sto dzieci (jedno — na dwieście).

Jedno ubranie — na sto dzieci.

Jedną parę bucików — na sto dzieci.

Półtora swetera — na sto dzieci.

Dwie pary pończoch — na sto dzieci.

No, więc to jest przecież okropne, bo tego wszystkiego jest sto razy za mało a i to jeszcze niewiadomo, czy się zbierze?!

Więc jakże to wszystko zrobić jakoś porządnie, komu

dawać a komu nie? Daje się najbiedniejszym. Bardzo biednym, zupełnie biednym.

Już ja wiem, jakim, bo znam takich ludzi: Daje się tak biednym, że się daje bez jednego słowa. Nic się przy tem nie mówi, taki żal i wstyd!

Komisja Opiek rozsyła po szkołach formularze a potem taki biedaczek wybrany przychodzi z formularzem na Hipoteczną, gdzie wydają mu tę rzecz z magazynu.

Zwiedziłem owe magazyny i chciałbym, by każdy, kto przeczyta te słowa, poszedł tam.

Jest to poprostu, jak gdyby jakiś raj dla tych, którzy, nie mają najpotrzebniejszych rzeczy. W raju tym leżą na półkach swetry dziewczyńskie i chłopczyńskie zaprasowane pięknie, wełniane, ciepłe, zrobione wedle odpowiednich fasonów.

Swetry, pończochy, wszelaka bielizna, trzewiki nowe o świeżych gładziusieńkich podeszwach.

Widziałem tam, jak dwóch chłopczyków, którzy przyszli ze swym ojcem, przymierzało właśnie nowe buciki.

Obaj stali na czystej drewnianej podściółce, po której bali się chodzić w swych nowych bucikach. Tylko widać było, że stojąc nieruchomo, poruszają palcami stóp. Patrzyli pilnie, jak w miarę tego ruszania palców porusza się odbicie światła na skórze trzewika a potem ze strachem i z jakiegoś dziwnego szczęścia, — patrzyli w sufit.

Widziałem tam jakiegoś chłopaczka, któremu przymierzano nowe palto.

Nowe granatowe palto, ciepłe, z głębokiemi kiesze-

niami, ba! palto granatowe na czarnej, mocnej, świeżej, pachnącej podszewce.

Pachnącej, naturalnie, że pachnącej! Gdy się czegoś nie ma i tak się bardzo pragnie dostać i dają nam nareszcie tę rzecz upragnioną — czyż ona wtedy nie pachnie najśliczniejszym na świecie zapachem — ludzkiej dobroci?!

Chłopaczek, któremu przymierzali palto, bał się oddychać.

Bał się ruszyć, bał się podnieść ramiona, bał się zwrócić wbok głowę. I to jest zrozumiałe zupełnie, gdyż chłopcu, który tyle miesięcy marzył, mogło się było zdawać, że palto jest chyba jakimś snem.

Odetchnąć, ruszyć ramieniem, zwrócić głowę — i prześliczny sen pierzchnie...

Czy po tem, co przed chwilą napisałem, może ktoś jeszcze wątpić o potrzebie zbierania środków na odzież dla biednych dzieci?

Sądzę, że nikt w to nie wątpi.

Zbierać trzeba, ale jak?

Jak zbierać, żeby to nie była żebranina i żeby to było robione poważnie a zarazem z całego serca i sumiennie, dokładnie?

Komitet Opiek Szkolnych wpadł na pomysł, — wedle mego zdania doskonały, a któremu wy młode Aciaki i Aciaczki całej Warszawy i całej Polski możecie bardzo wydatnie pomóc.

Komitet powierzył całą tę sprawę dozorcom domowym.

Dozorcy, którzy już i tak ciężko pracują, zrozumieli

sprawę. Dostają teraz od Komitetu listy składkowe. Na te listy zbierają pieniądze, każdy w swoim domu.

I cóż się okazuje? Żadna lista, na żaden cel tyle nie dała, co listy; z któremi chodzą po swych domach dozorcy.

Wy, dzieci, lepiej, niż kto inny wiecie, jak trudno zbierać tak pieniądze. Trzeba dziesięć razy przychodzić na darmo. A bo to teraz, — odpowie takiemu dozorcy kucharka, — pani niema, a to znów, — że pan śpi, a to znów, że państwo są zajęte, a to znów, — że do teatru poszli.

Tak bez końca.

I tu właśnie możecie okazać wielką pomoc!

Gdy się zjawi dozorca z listą składkową, bierzcie mu ją z ręki, lećcie do matki, czy do ojca.

Wiem doskonale, — równie dobrze, jak wy, — kiedy nie można przeszkadzać matce, a kiedy ojcu.

Matce nie można przeszkadzać, kiedy robi rachunki.

Ojcu nie można przeszkadzać, kiedy pracuje u siebie w gabinecie.

To nic. Możecie im przeszkodzić w tym wypadku.

Gdy matka siedzi nad rachunkami, zbliż się do niej ostrożnie, obejmij ją łagodnie za szyję i powiedz jej do ucha: — Mamo, tu trzeba dać koniecznie, bo przyszedł nasz dozorca, który zbiera na odzież dla dzieci.

Gdyby nie zwróciła jeszcze uwagi na to, co mówisz, dodaj: — Mamo, dwadzieścia tysięcy dzieci w Warszawie, nie ma się w co ubrać, teraz w zimie.

Zobaczysz, że nie tylko nie zburczy cię matka, ale, że cię uściska.

Wiem też, jak sobie masz poradzić z ojcem, gdy ów dozorca przyjdzie wtedy, gdy ojciec twój pracować będzie u siebie w gabinecie.

Masz sobie tak poradzić: Idziesz z tą listą.

Pukasz do drzwi.

Ojciec nie odpowiada.

Pukasz śmielej.

Ojciec nie odpowiada.

Wtedy otwierasz drzwi.

Choćby ci miało serce nie wiem jak kołatać w piersiach ze strachu, idź naprzód, śmiało do biurka. Nic sobie z tego nie rób, że ojciec zrobił już ręką ruch zniecierpliwienia.

Stań przy biurku i powiedz:

— Ja wiem, że ci przeszkadzam. Nie mam na to żadnej rady, bo nie mam jeszcze swoich własnych pieniędzy. A tu przyszedł dozorca z listą na odzież dla dzieci.

Twój ojciec zniecierpliwi się być może i zawoła:

— Dla jakich znowu dzieci?

Nie bój się nic, mów głośno: — Jest teraz zima a dwadzieścia tysięcy dzieci w Warszawie nie ma się w co ubrać.

Nie bój się nic, tylko tak powiedz, jak ci tu teraz radzę.

Nie sprawisz swemu ojcu przykrości. Gotów jestem założyć się z tobą, że gdy mu powiesz śmiało o tych dzieciach, przyciągnie cię do siebie, — choć mu przerwałeś pracę, — uściska i razem z tobą pójdzie prędko do kuchni podpisać listę składkową waszego dozorcy.

Zobaczysz!

ZWIERZĘTA, — LOP — I KRYZYS

(CZYLI POCIECHA DLA MINISTRA FINANSÓW)

Aciaki wchodzą zawsze tylnem wejściem, przez kuchnię, aby mi nie przeszkadzać. Tymczasem dziś, zadzwonili od frontu, słyszę głośny tupot na schodach, potem gwałtowne szarpnięcie drzwiami, wielki harmider w przedpokoju i już są u mnie.

Obaj w czapkach mundurowych, z pod długich daszków nie widać prawie twarzy, płaszcze ośnieżone, na plecach tornistry.

Weszli w grubych narciarskich butach (teraz już zawsze będą chodzili w takich butach, które są dobre i do nart i do piłki nożnej i do ewentualnego kopnięcia i na szczyty górskie i ewentualnie do konnej jazdy i, — wogóle) stanęli na środku pokoju i powiadają razem:

— Dwadzieścia osiem złotych na składki! Liczyliśmy dziś do decyljonów.

— Dwadzieścia osiem złotych? Jakież to składki? Na co!?

— Mówię ci, że potrzebne. Liczyliśmy do decyljonów, nie masz pojęcia, ile to zer wychodzi. Jakie skład-

ki? Na śniadania dwadzieścia złotych, na ochronę zwierząt...

— Jakich zwierząt?

— Zwierząt. Za przedstawienie dwa złote. Na L. O. P. P. i na P. K. O. — cała klasa zbiera. Ale te decyljony — takie śmieszne!!

— No, to myjcie ręce i jazda do obiadu.

Przy obiedzie zaczyna się znowu, — od owych dwudziestu ośmiu złotych.

Zaczyna się i nie kończy. Nie wiem, jakim cudem rozmowa schodzi na sprawę wystawy.

— Urządzamy wystawę naszych wyrobów. Wyroby, czyli to, co kto lubi robić oprócz szkoły. Termin do końca stycznia, ale trzeba zaczynać jak najprędzej.

— A niby jakież są te wasze wyroby?

— Nie masz pojęcia. Zygmunt wystawia wszystkie swoje *dowolne malowidła*. Stefan ma rzecz wspaniałą: Obrazki z trzystu anglasów. Pomyśl, — trzysta anglasów! Po rozdaniu świadectw odbędzie się nasza wystawa.

— Co znaczy — nasza?

— Naturalnie! Pierwszej A. Pierwsza B nie ma o niczem pojęcia.

— No tak, ale chyba oni tam też coś robią w tej Pierwszej B.

— Tam nigdy nic nie robią.

— A Stefan, powiadasz, — wystawia trzysta anglasów?

— A ja piszę wiersz i robię aeroplan z siodełkiem. Ale musisz dać dwadzieścia osiem złotych.

— Na Boga, pocóż tyle pieniędzy?

— Dwadzieścia złotych na śniadania.

— To zrozumiałe. Dobrze. Dalej?

Jesteśmy już przy mięsie. Projektodawca dwudziestu ośmiu złotych odkłada nóż i widelec, przekręca się na krześle i wskazującym palcem lewej ręki odznacza poszczególne cyfry na palcach prawej.

— Dwadzieścia złotych na śniadania...

— To już było, zgadzam się, ale dalej?

— Dwa za przedstawienie.

— Ładne przedstawienie! Lubię takie przedstawienia, na które aktorzy spóźniają się z wejściem na scenę, bo popisują się stawaniem na głowie za kulisami.

— Ale bilet wziąłeś?!

— Dobrze, wziąłem. Więc dwadzieścia dwa złote. A dalej?

— Przecież na Lop musimy dać.

— Na Lop nie dam, — przerywa nagle humanista. — To może jeszcze poczekać.

Zaczyna się dyskusja dwóch Aciaków, w której ze względu na niezmiernie szybkie tempo nie mam najmniejszej możliwości wtrynić mego zdania.

— Możesz poczekać? Doskonale! Czekaj, aż ci cały kraj zbombardują. Ty sobie czekasz, a oni bombardują. Czekaj.

— Jacy oni!? — Humanista wzrusza ramionami.

— Wcale nie bujda. Doskonale: Oni organizują swoje floty powietrzne, a ty śpisz.

— No to śpię. Mamy dosyć samolotów.

— Samoloty się niszczą — woła Aciak-zdobywca.

— Można zawsze naprawić!

— Nie można!! Pamiętaj, że *oni* cię już bombardują podczas twego głupiego naprawiania!

— Dobrze. Ostatecznie można dać na Lop.

Koniec dyskusji.

Teraz nareszcie ja: — To ile razem? Było dwadzieścia dwa. Na Lop ile dajecie? Za dwa miesiące? Cztery złote. Razem dwadzieścia sześć.

— A na ochronę zwierząt? — pyta zapalczywy Aciak-zdobywca.

— Zupełna bujda, — przerywa humanista.

— Wcale nie bujda!

Znowu przestali jeść.

Aciak-zdobywca trzyma sztorcem przy talerzu nóż i widelec. Srogo patrzy przed siebie.

— Nie trzyma się tak, — powiadam, — noża i widelca. Ile razy mam to powtarzać?

Tu zaczyna się druga dyskusja.

— Bujda? — woła Aciak-zdobywca.

— Zupełna bujda. — Aciak-humanista śmieje się przekornie. — Na zwierzęta nie daję ani grosza.

— On na zwierzęta nie daje ani grosza! Ale lubisz oglądać małpy?! Po drugie, czy obcy nie powinni wiedzieć, że Polacy lubią się bawić? Że mają dobry humor? Że nawet zwierzętom powodzi się u nas doskonale?

— Bujda.

— To ty wolisz, żeby zwierzęta na ulicach zdychały?

— Nie będą zdychały.

— Będą zdychały we wszystkich miastach! We Lwowie, Krakowie, w Zakopanem, w Wilnie. Możesz sobie zresztą zobaczyć na mapie, w ilu miastach będą, zdychały.

Każde słowo potwierdzone jest uderzeniem dłoni w obrus.

— We wszystkich miastach Polski, jak je masz na mapie, będą zdychały zwierzęta i to właśnie z twojej łaski.

— Zupełna bujda. — Humanista na znak, że przechodzi nad zdychaniem zwierząt do porządku, ładuje do ust kawałek pieczeni.

Nareszcie znowu ja: — Nie mówi się o zdychaniu przy obiedzie.

— No więc nie o zdychaniu! Ale dlaczego cudzoziemcy nie mają widzieć, że u nas powodzi się zwierzętom?! — woła Aciak-zdobywca.

— Dlatego, — humanista zaczerwienił się z gniewu — że ja wolę dać na P. K. O. Rozumiesz? Wolę, a nie na jakieś głupie zwierzęta! P. K. O. — ma sens!!

Ja: jaki sens?

— Jaki sens? — Humanista wyciąga obie ręce nad talerzem: — Taki sens, że za regularne płacenie składek dają ci tam po roku dwadzieścia złotych nagrody! Taki sens.

Znowu ja: — Jakto nagrody?

— A tak. Płacisz co miesiąc złotego, albo ile tam chcesz, wszystko jedno i za regularne płacenie dają ci po roku dwadzieścia złotych nagrody.

Ja, do obydwóch: — Nie wydaje mi się. Tak dużo nie mogą chyba płacić? Bójcie się Boga, przecież wypadałoby to, że za 50 złotych dają rocznie 20 złotych nagrody. Niemożliwe! Pamiętajcie, że teraz jest kryzys. To znaczy, że są bardzo trudne warunki gospodarcze.

Humanista, wyciągnąwszy znowu oratorskim gestem rękę nad talerzem: — A ja ci mówię, że całkiem napewno dają taką nagrodę. Co tam znaczy kryzys!

Zawsze się gdzieś jakiś kryzys znajdzie. Dlatego też gadanie o tych zwierzętach — jest zupełną bujdą!

Kucharka wniosła leguminę i już nie doszliśmy do żadnych wyników w naszej finansowej dyskusji.

Została zresztą przerwana jeszcze jedną nową wiadomością: Że klasa I-sza A i I-sza B mają wypalić w sobotę uroczyście fajkę pokoju.

Uroczystość ma się odbyć w gimnazjum w sobotę po południu.

Już wstajemy od stołu, gdy nagle humanista: — Kto wie, możeby nawet dać na te zwierzęta? Nie dlatego, że zdechną! Ale jeżeli mamy palić fajkę pokoju z Pierwszą B? — to już wogóle, co do wszystkiego — wszystko jedno. Oczywiście! Pewne jest tylko jedno: Zawsze się wkońcu znajdzie gdzieś jakiś kryzys...

ROZWIĄZANIE CAŁEJ POLITYKI

(CZYLI RAJ!)

Wybory i wybory, afisze i afisze, gazety, artykuły, rozrzutki! Na każdym kroku szczęście, głosuj tylko: Jedynka, dwójka, trójka, ósemka, czy dziesiątka.

Miłość i szczęście zapewnione, w imię którego przeciwnicy, gdyby mogli, kościby sobie łamali, języki ucinali.

A więc, nie pozwólmy dzieciom o tem mówić.

Młodzież trzymać zdaleka.

Tymczasem Aciaki nie liczą się tu z nami i wybierają same, — patrzcie-no tylko z jaką szczerą i miłą prostotą.

Aparat techniczny wyborów, urządzanych przez Pierwszą A nie jest skomplikowany. Byleby tylko znalazła się pod ręką jakaś wygodna puszka.

Prawdziwie wygodna puszka zostaje zaraz urną.

— Co to znaczy wygodna? Drewniana, metalowa, pudełko, skrzynka?

— Nic nie rozumiesz. Musi to być stanowczo jakaś puszka po konserwach, sardynkach, albo oliwie, z odpiłowanem lekko jednem denkiem. Do takiej puszki nie wsadzisz swego głosu za szeroko, bo się zaraz skale-

czysz o blachę. To ma znaczyć, — wygodna. Mieliśmy taką doskonałą puszkę, taką urnę. Chowało się ją pod ławkę a nawet pod katedrę, nigdy żaden profesor nie widział.

Do takiej urny głosują już od czterech dni Aciaki z Pierwszej A.

Nad prawidłowością głosowania czuwa kasjer. Ten sam który zarządza pieniędzmi, — staje się teraz kasjerem od rachowania głosów.

Sam kasjer nie głosuje, — żeby już wogóle raz na zawsze nie cyganił.

Prócz kasjera nie mają również prawa głosu podczas wyborów aciackich — synowie wojskowych.

— Synowie wojskowych nigdy nigdzie nie głosują, — twierdzi wtajemniczony znawca aciackiej ustawy wyborczej.

Prócz kasjera i synów wojskowych głosują wszyscy. Odbywa się to całkiem jawnie. Przynoszą kartki do urny z liczbą i z własnoręcznym podpisem.

— Jakto, — wołam, — toż to szaleństwo! Chyba pojęcia nie macie, ile się namęczyli ludzie, aby dojść właśnie do jakiej takiej tajności wyborów?! Były to całe wieki kłopotów, walk, zmartwień — ach, — powiadam wam, — jakieżto były okropne awantury!

— Nietylko awantury, — potwierdza Aciak, — ale także nieszczęście! Wielkie nieszczęście, skoro się nie wiedziało, kto na kogo głosuje! A cóżto za przyjemność?!!

Odpowiadam spokojnie, że wybory nigdy prawie nie są przyjemnością.

— Nieprawda, zawsze, — za każdym razem, —

twierdzą Aciaki, — wybory są olbrzymią przyjemnością! Dlatego, że potem, po wyborach następuje rozwiązanie całej polityki.

— Co to znaczy?

— Po wyborach następuje rozwiązanie polityki, — nie wiesz tego?

— Nie wiedziałem.

— Naturalnie! Najprzód wszyscy, którzy mają prawo głosu, głosują.

— Na co?

— Na, — na wszystko! Jak zawsze, — na rozmaite liczby. Na litery. Za Piłsudskim, albo za endekami.

— A czego chcą endecy?

— Wszystko jedno czego chcą, nie o to chodzi. Każdy czegoś chce zawsze. Nie o to chodzi. Muszą być liczby, które się łączą z literami. Tu właśnie chodzi o litery z liczbami, — które trzeba doskonale razem mieszać. My też obieramy sobie w naszem głosowaniu liczby. Każdy podpisuje wyraźnie swoją, aby było wiadomo, bo potem kasjer wywoła wszystkich głosujących po nazwisku.

— Po co?

— Po to właśnie, aby później mogło nastąpić rozwiązanie.

— A kiedyż następuje?

— Następuje poprostu: Kasjer musi wywołać wszystkich głosujących według liczb. Już odrazu wiadomo, bo to jest podpisane, kto na jaką liczbę idzie. No więc wszyscy ustawiają się po swoich stronach.

— I co wtedy?

— Wtedy wybory są już skończone i następuje rozwiązanie.

— To znaczy, co?

— Walenie, ale ci powiadam!! U nas po takich wyborach zaczyna się walenie i najlepsza zabawa. Bo już zapóźno: Kto był za jaką liczbą, ten już musi tak zostać. I bierze po łbie od tych, których jest więcej.

— Więc to jest koniec.

— Wcale nie koniec. Następnego dnia robimy znowu nowe wybory. To się zmienia, niezawsze muszą być takie same wyniki.

— A co robią synowie wojskowych przy takiem rozwiązaniu polityki?

— Przy waleniu?

— Chociażby przy waleniu?

Aciak zamyślił się, zasępił. Zmarszczył czoło.

— Sądzę, — rzekłem — że przy waleniu synowie wojskowych mogliby się wcale nieźle przydać?

— Nie. Nie wolno. Synowie wojskowych nie mają nic do gadania, od początku do końca. To trudno, — ich ojcowie mają zato ordery.

— A czy dzisiaj, — pytam Aciaków, — też odbywały się u was w klasie wybory?

— Niestety, nie. Wychowawca odkrył pod ławką naszą urnę wyborczą i to najlepszą! Mieliśmy świetną puszkę z oliwy do samochodu. Mobil-oil. Naturalnie skaleczył się o otworzone denko z blachy, — pękaliśmy ze śmiechu, ale powiedział, że to są zabawy dobre może dla starszych, lecz nie dla chłopców. Powiedział nam też potem na godzinie wychowawstwa, żebyśmy lepiej

odegrali sobie jakieś przedstawienie. Jakiekolwiek, — chociażby wymyślone.

— No i co było lepsze? Przedstawienie, czy wybory?

— Lepsze były wybory. Tysiąc razy! Z przedstawienia nic prawdziwego nie wynika. A z wyborów, rozumiesz, — rozwiązywanie polityki, — to przecież istny raj!

PRAWDA WŚRÓD CZTERECH ATRAMENTÓW

Do mego pokoju wchodzić nie wolno, a podczas pracy nawet pukanie nic nie pomaga. Jest jednak wtedy jeszcze jeden sposób, który nigdy dotąd nie zawiódł chyba nigdy nie zawiedzie: Wchodzi się tu po indjańsku, niesłyszalnie.

Bez cienia szelestu otwiera się drzwi, bez cienia szelestu przemierza się całą niewielką zresztą przestrzeń i staje się koło biurka, — jak duch.

Duch taki w kształcie Aciaka siada, bez cienia szelestu, na fotelu koło biurka i nic nie mówi.

Nie trzeba zwracać na niego uwagi. Ten duch niebieskooki i złotowłosy ma tu sporo do roboty. Zapycha palce w dziury fotelowego pokrowca, zagłębia się „niesłyszalnie" wgłąb siedzenia, liczy oczami deseń tapety.

Zwrócić uwagę trzeba dopiero wtedy, gdy duch wzdycha.

Duch wzdycha tak żałośnie, jakby się przed chwilą dowiedział, że pół świata skazane zostało na potępienie.

Wtedy już czas najwyższy, by zapytać: — A cóż się znowu stało?

— Nic się nie stało.

Należy tedy dalej pracować, nie zwracając żadnej uwagi na ducha. Rozedrze jeszcze dwie trzy dziury w pokrowcu, zliczy jeszcze trzy, cztery rzędy tapet i sam powie wkońcu: — Chodź nam pomóc.

Trzeba pomóc: Dość wejść do pracowni Aciaków, dość rzucić okiem, by się odrazu przekonać, że położenie jest bez wyjścia.

Jeden Aciak siedzi za stołem i pisze, drugi Aciak kucnął na krześle obok stołu i doradza. Właściwie obaj piszą — i żaden nie pisze.

Myślą.

Strasznie myślą. Polega to na czterech atramentach: Dwa w butelkach i dwa góralskie kapelusze-kałamarze, które jeszcze zeszłego roku podarował nam gazda w Zakopanem.

Polega to na czterech atramentach, dwóch pudełkach farb, stojących na stole, flaszce z gumą arabską, kupie książek, zeszytów, cyrkli, całej gromadzie części aeroplanowych, łódek papierowych, motorów jakiejś łodzi podwodnej i trzech rękawicach bokserskich, które, niby jakoweś brunatne, olbrzymie grzyby ciemnieją statecznie na wybujałem poszyciu tego stołu.

Aciak pisze na kartce papieru, która, — nie da się tego inaczej określić, — która poprostu struchlała.

Nikt jeszcze nie widział tak strasznie pomiętej, pogiętej, wysuswalonej i umęczonej kartki papieru.

W samym kącie, u góry ma jednak wyrysowany atramentem aeroplan, na dole zaś lokomotywę z sześcioma wagonami.

Czoło piszącego Aciaka-zdobywcy jest tak zbruż-

dżone, jakby mu spoczywały na głowie całe cetnary zmartwienia.

Drugi Aciak, humanista, który nie pisze a tylko doradza, ma na czole i na policzkach piętna atramentowych plam, — widać więc, że też nie próżnował.

Natrafili na jakieś wielkie trudności, pióro bowiem zaschło, piszący trzyma obie ręce we włosach.

Humanista machinalnie kręci korbką pozostałą ze zniszczonej lokomotywy.

— Co się tu dzieje? — pytam.

— My piszemy kronikę, kronikę tygodniową, ale to jest idjotyzm!

— Dlaczego zaraz aż idjotyzm?

— Bo tego wcale nie można napisać. Nie da się, czy rozumiesz? To się poprostu nie da?

— Wszystko można napisać, — odpowiadam.

— To spróbuj.

— Mogę spróbować, jeżeli będę wiedział o co chodzi?

— O co chodzi?! O głupstwo. O parę świńskich słów. Ale nasz wychowawca tak już zmarniał...

— Zeszedł na psy!

Zmarniał, — zeszedł na psy, — nie ma pojęcia, — wzywa dyra na pomoc! I teraz Leszka wylewają z gimnazjum. I to ma być w kronice tutaj opisane?

— Co?

Zamieszane jest w tę sprawę jakieś auto, jakiś syn wojewody, przy którym zawsze dodaje się „no, wiesz“. Okazuje się po chwili, że nie auto i nie syn wojewody a tylko Krzysiek; oprócz tego jacyś wrogo-

wie, — głupcy. I znowu Krzysiek, najdzielniejszy, — atleta.

Tego Krzyśka zwalili, — kilku wrogów, — paskiem w oko. On na to chciał im oddać, ale nie zdążył, więc tylko krzyknął: cholera, i jeszcze kilka innych słów wcale niezgorszych. Lecz na to właśnie wchodzi pan wychowawca. Nasi wrogowie na to, powtarzają — cholera i jeszcze kilka innych słów, o wiele gorszych, — że to Krzysiek tak mówi. Na to nasz wychowawca, — zmarniał już całkowicie, — pyta, co to ma znaczyć?

Co ma znaczyć? Więc oni mówią, że to Krzysiek tak mówi. Ale Krzysiek powiedział tak, bo dostał paskiem w oko. Z drugiej strony, — nie można skarżyć. Więc Krzysiek nic, — nie skarży. Tylko powtarza swoje, na całą klasę, co oni za nim powtórzyli, choć żaden z nich nie dostał paskiem w oko: Cholera, — no i tamto. Na to, bo mówię ci, że zmarniał, przemowa i gadanie pana wychowawcy o tak zwanej — przyzwoitości. Doskonale.

Stanęło na tem, że Krzysiek napisał na tablicy, że już więcej nie będzie wymawiał takich słów. I nie wymawia. Sam nie wymawia, tylko wrogowie wciąż za nim chodzą i te słowa pocichu mu mówią.

Dobrze. Więc Krzysiek nic — a oni powtarzają. Więc kiedy znowu przyszedł ten wychowawca, a oni szeptem wciąż Krzyśkowi te słowa powtarzają, Krzysiek patrzy się na nich i woła nie od siebie lecz dla jawności: Cholera, — no i tamto. Rozumiesz, — dla jawności! Dla zupełnej jawności. Bardzo dzielnie i uczciwie. Więc wtedy wychowawca, który znowu czepia się słów,

że w takim razie musi ta sprawa powędrować do dyra. A już jak jest u dyra, wiadomo, że wylanie. Żeby teraz głosować, czy sprawę odsyłamy do dyra? Bo wychowawca wcale się nie poznał na jawności.

— No, to napiszcie że Krzysik wołał te słowa, bez skarżenia, a tylko dla jawności.

— Kiedy w jawności jest już trochę skarżenia! Wszyscy głosują. Wynika z tego jasno — że cała sprawa wędruje już do dyra. Teraz masz to opisać w kronice.

— Naturalnie, bierzecie stronę Krzyśka?

— Naturalnie.

— No, więc piszcie za Krzyśkiem, cóż to trudnego? Że tamci dali mu paskiem w oko, że powtarzał te słowa, wyłącznie dla jawności, bardzo dzielnie, bynajmniej nie dla świństwa.

— Nie możemy napisać, że dostał paskiem w oko. On nie chce skarżyć, bo im odda. Odda im później.

— No więc napiszcie, że tamci powtarzali pocichu, a wtedy on —

— Nie można skarżyć. Nie można skarżyć, a równocześnie trzeba napisać prawdę.

Milczymy wszyscy trzej.

Aciak rozparty za stołem uderza lekko lampę wiszącą nad papierem. Lampa przechyla światło w lewo, w prawo, cienie krótkie i długie ujmują cały pokój, kołyszą: w zmianie blasków i mroku, jakgdybyśmy płynęli przez jakąś przestrzeń cichą i niewiadomą, coraz dalszą — a przecież wciąż tę samą.

Tylko papier, tylko ta umęczona kartka cierpnie dalej samotnie wśród czterech atramentów.

— Nie można skarżyć a równocześnie trzeba napisać prawdę, — powtarzam, i znów płyniemy, niesieni promieniami lampy wgłąb coraz większych i cięższych wątpliwości.

— Tu trzeba tak napisać w tej kronice, żeby to była prawda bez skarżenia. Nic więcej, — tylko prawda. I ja im to wywalę!

Aciak pochyla zbrużdżone czoło nad papierem, zatapia pióro w kałamarzu. Drugi Aciak poprawia się na krześle i zaraz woła, — zawal im, naturalnie! —

— Ja im wywalę prawdę, bez skarżenia, prawdę aż do samego dyra włącznie!

Już piszą!

Jeden pisze bełtając atramentem w wszystkich flachach, drugi zaś, humanista, dogaduje ciągle: — wywal im, — doskonale!

Kronika tygodniowa.

Data.

Treść kroniki: Wszyscy lubią przeklinać. Wszyscy lubią się bić. Dlatego stało się, co wszyscy wiedzą. Wszyscy robią to samo, starsi napewne też.

— Teraz jest bez skarżenia aż do samego dyra włącznie sama prawda.

Gdym minąwszy nasz salon, wchodził do przedpokoju, doleciały mnie głosy radosne, już z wyżyn zgrzytającego trapezu: — Rozumiesz to?! Prawda do samego dyra włącznie!

MIĘDZY ŚCIANAMI WIECZYSTEGO MILCZENIA

To, co mam tu zamiar opowiedzieć, jest dość dziwną przygodą. Tak dziwną a zarazem zwykłą, a zarazem wspaniałą, że wobec tego wydarzenia jazda w beczce po wodospadach Niagary czy jakiś tam rekord w skoku wzwyż, lub o tyczce — może się wydać głupstwem!

Przygoda ta wydarzyła mi się w ostatni wtorek karnawału.

Jadę tramwajem po południu, koło godziny piątej, — dzień jest mroźny, ostatnia łuna zachodu miesza się ze światłem lamp elektrycznych.

Jadę do środka miasta do pewnego sklepu, gdzie widziałem nowe, białe krawatki frakowe. Dlaczegoż pod koniec karnawału nie miałbym wystąpić w nowej, białej krawatce?

Przejeżdżam, jak zwykle, przez Plac Trzech Krzyży.

Na Placu Trzech Krzyży, jak to powszechnie wiadomo, jest przystanek. Jadąc tramwajem stoję zawsze na tylnej platformie drugiego wozu, widać stąd bowiem zawsze miasto i nie siedzi się w tłoku.

Każdemu zawsze radzę stać przy motorniczym, albo na tylnej platformie.

Na Placu Trzech Krzyży uderzyła mnie pewna nowość: Zakład dla głuchoniemych i ociemniałych dzieci, który znajduje się za sztachetami, na prawo od przystanku, — oświetlony jest rzęsiście.

Co to ma znaczyć?

Pewno nic. Może jakiś inspektor dziś właśnie zwiedza gmach?

Stoję na platformie i niby myślę, ale właściwie wcale nie myślę, tylko patrzę, jak dwie przekupki pakują się do wozu, obładowane koszykami.

Motorniczy krzyczy na nie, — że z takiemi koszami nie wolno jeździć tramwajem.

Na to przekupki, — że jak mają jeździć? Samolotem?

Robi się odrazu wielkie gadanie, ja stoję dalej, ale gdy wóz rusza, — zeskakuję. Bo to, co widzę jest tak dziwne, że biała krawatka, którą miałem kupić, może jeszcze poczekać: W domu głuchoniemych tańczą całe tłumy jakichś postaci osobliwych... Za szybami wszystkich okien, — a jest ich kilkanaście w jednym rzędzie, — kręcą się pary tańczące: indjanie, kozacy, ułani, turcy, hiszpanie, polonusy, żołnierze.

Widać wszystko jak na dłoni.

Zamiast jechać po krawatkę, mijam furtkę, idę ścieżyną w śniegu i dalej schodami na górę.

A cóż mi tam zrobią? Można chyba popatrzeć zdaleka.

Tu zaczyna się właściwy początek przygody: Na schodach, wszędzie na kurytarzach i na wszystkich pię-

trach klatki schodowej biegają dzieci, poprzebierane najdziwaczniej: w maskach i bez masek, wszystkie prawie w czarodziejskich piórach, wstęgach, gwiazdach: Indjanie, legjoniści, czerkiesi, jakieś turczynki, amazonki, niedźwiadki i anielice złotowłose.

Z głębi budynku dochodzą dźwięki walca, przeninikają przez stare mury i płyną giętkiem echem po wszystkich korytarzach, nad głowami dzieci, które zdają się szaleć z radości.

Cóż to za radość! Skaczą, wyciągają ręce, biegną i znów wracają i kręcą się na miejscu i znów lecą i znów wracają przystrojone, szczęśliwe, z gorącym blaskiem w roziskrzonych oczach.

Zabawie tej nie towarzyszy jednak wcale głos mowy ludzkiej, — tylko jakieś okrzyki, wysokie, cienkie, nagłe, jakby z innego świata! Lub z za dziesiątej ściany, czy przez wodę ogromną płynące z jakichś strasznych przepaści.

Tam grają walca, — a tu owe zbłąkane okrzyki i szemranie bibułek barwnych, z których zszyte są kostjumy.

Ani jednego słowa, ani strzępka jakiejś rozmowy.

Przecież to głuchoniemi!

Wolałbym uciec, ale już nie wypada, dzieci mnie obstąpiły i pociągnęły naprzód do wielkiej sali. Dobrze, żem zdążył po drodze oddać woźnemu futro, kapelusz, szal, — trzeba się teraz przecież komuś przedstawić, znaleźć dyrektora, przeprosić za tak nagłą wizytę.

Dyrektor tańczy z dziećmi, muzyka gra: fortepian, skrzypce, wiolonczela, to ślepi chłopcy grający do tańca głuchoniemym, tak, tak, widać, że ślepi po nieruchomych, nic nie widzących twarzach.

Dopchałem się do dyrektora, przeprosiłem za takie najście, — ależ to nic nie szkodzi, bardzo, bardzo prosimy, — potem znów były tańce, — a potem zawiązała się rozmowa o tem, jak trzeba uczyć takie dzieci.

Słucham, patrzę na tańce: Głuchoniemi miarkują kroki swoje wedle fal powietrza, któremi drży muzyka.

Biegną, znów wyciągają dłonie, śmieją się, klaszczą w ręce, takie szczęście lśni w ich błyszczących oczach, — szczęście między ścianami wieczystego milczenia.

Ślepi i głuchoniemi, pośród dwóch ścian straszliwych, nieprzebytych już nigdy: Pośród dwóch ścian — ciemności i milczenia.

Oto cała przygoda, niemniejsza może od jazdy w beczce po Niagarze!

Sens tej prostej przygody na tem chyba polega, że my, ludzie, nie chcemy dać się od innych odgraniczyć żadną ścianą; że jeśli nawet wyrośnie taka ściana straszna i nieprzebyta, jak naprzykład ta właśnie, głuchoty i milczenia — my przebijamy ją naszym zapałem, pracą i miłością, aż ustąpi i znów możemy dojść do naszych braci.

Dzieci głuchonieme tańczą pod rytm powietrza, trącanego dźwiękami muzyki, dyrektor opowiada mi tymczasem, jak ich tu uczą mówić. Jak budzą głos zanikły już w ich piersiach, jak dziecko obejmuje rączkami szyję nauczyciela, by wyczuć drgnienia krtani, jak przy spółgłoskach na dłoń chuchać trzeba, by prąd powietrza mógł dziecku drżenie danego dźwięku uzmysłowić; jak patrzeć muszą ciągle na usta mówiącego.

Jak zdobywają w trudzie i znoju jedno słowo po drugiem.

Jak nie mogą zrozumieć przypadków, odmian, czasów, ani też sensu składni.

Że na początku mowa nasza wydaje się im w ich smutnej praktyce, jak gdyby rzeką zamarzniętą. Pod lodową powierzchnią nurtuje myśl, lecz nawierzch wydobyć jej nie mogą. I dopiero, gdy po straszliwych trudach rozumieć zaczną obrót i zwrotność mowy, odmianę czasu, rzeczownika, budowę zdania — myśl ich dostaje nagle, — jakgdyby wielkich skrzydeł.

Żeby się nigdy nie bać cudzego kalectwa! Każde kalectwo może być pokonane. Głuchoniemi przepadają za dziećmi mówiącemi. Muszą się znać wzajemnie. Muszą się razem bawić, mówić do siebie jak najwięcej. Muszą razem pracować. Jedyne dla nich szczęście, jedyne ocalenie, gdy się czują takimi, jak wszyscy.

Oto cała przygoda: Jak jakiś człowiek, — choćby naprzykład ja, — jadąc po krawatkę w ostatni wtorek karnawału, zboczył z drogi i dzięki wielkim światłom w oknach przekonał się raz jeszcze, że przy każdej okazji, wszędzie w mieście i wszędzie na świecie spotkać można sumiennych ludzi, którzy ratują drugich z pośród ogromu jakichś straszliwych i nieprzebytych ścian wieczystego milczenia, lub wieczystej ciemności.

Znaczenie tej przygody nie jest małe, uważam bowiem, że wobec opowiedzianego tutaj wydarzenia, — jazda w beczce po wodospadzie Niagary, czy nawet jakiś rekord w skoku wzwyż, lub o tyczce, — może się wydać głupstwem.

REDACKCJA „TO I OWO“

I

Aciaki przyszły dzisiaj z gimnazjum i wpadły do mego pokoju, wołając wielkim głosem: — Spotkał cię duży zaszczyt, bardzo duży! Dostałeś to od redakcji pisma, własnoręcznie do ciebie zaadresowane i nie potrzebujesz nic płacić, — masz za darmo.

Mówiąc, podali mi żółty zeszyt, z upstrzoną okładką.

— Co to jest?

— To jest pismo gimnazjalne. Przeczytaj tytuł!

— „To i Owo“. Wyborny tytuł, ale na czem ma tu polegać zaszczyt?

— Polega na tem, że dostajesz za darmo, wszyscy inni muszą płacić trzydzieści groszy za ten numer.

— Trzydzieści groszy? No, to nikt nie kupuje.

— Nie kupuje? Rozrywają to pismo. Ty dostałeś za darmo i jeszcze zaadresowane własnoręcznie. Tobie się zawsze tak udaje!

Cisnęli żółty zeszyt na maszynę do pisania i uciekli.

Na żółtej okładce między potężnemi literami tytułu — „To i Owo“, — znajdują się w odpowiednio cieniowanych ramach wspaniałe obrazy: Scena z meczu

piłki nożnej, dwa samoloty w obłokach, podobne do prosiąt, na dole żaglowiec wśród morskich bałwanów, bijących w czarne niebo.

Tylna stronica okładki jest humorystyczna: Dwa woły w jarzmie ciągną przez obszar ziemski olbrzymi wóz naładowany wysoko numerami „To i Owo“, nad rysunkiem zaś umieszczony napis głosi: „To i Owo szybko i pewnie transportowane do szkoły“.

Na tytułowej karcie tego czasopisma trzeciej klasy gimnazjum wymienieni są redaktor naczelny, komitet redakcyjny, złożony z pięciu członków i telefony redakcji: Pięć telefonów.

Rozumiem teraz dlaczego mi się tak udało i dlaczego otrzymałem To i Owo, dedykowane własnoręcznie przez redakcję: Jeden z członków komitetu redakcyjnego jest synem mego przyjaciela, u którego bawiąc któréjś niedzieli przed południem, spotkałem całą redakcję „To i Owo“ przy pracy.

Tak nie pracuje żadna redakcja świata: Dwóch redaktorów, w granatowych mundurkach pisało na tej samej maszynie, trzej inni grali na fortepianie. Pozostały skład redakcji tarzał się po dywanie w eliminacyjnych walkach francuskich. Wszyscy siłacze walczyli równocześnie, a sędziował posążek Piłsudskiego, ustawiony na brzegu stołu, tuż przy zapaśnikach.

W pewnej chwili jeden z atletów zerwał się z podłogi i, — widać w momencie jakiegoś jasnowidzenia redaktorskiego, — podał mi do przeczytania straszliwy szpargał, zryty ołówkiem, schlapany kleksami, znaczony piętnami zaatramenconych palców.

U góry szpargału widnieje tytuł: Od Redakcji.

Dziś można już i tytuł i ustęp odnośny przeczytać — drukowany kursywą w szanownem piśmie To i Owo. Rzecz ujęta została ściśle. Zaczyna się od słów: „W naszem piśmie będziemy pisać o życiu szkolnem, to jest o ważniejszych wydarzeniach w naszej szkole i o życiu pozaszkolnem, oraz o różnych wydarzeniach w świecie“.

Przypominam sobie, że mówiłem redaktorom, toczącym pod patronatem posążku Piłsudskiego walkę francuską, iż „będziemy pisać“ — jest źle. Lepiej — „będziemy pisali“.

Ale trudno, — przepadło.

Ustęp Od Redacji kończy się znakomicie: Chcielibyśmy, — piszą redaktorzy, — aby nasze pismo zyskało jak najwięcej zwolenników, czytelników i współpracowników.

Nie mogę pojąć jak się stało, że redaktorzy To i Owo, pracujący, (tego nie można im odmówić) w tak straszliwym chaosie francukiej walki eliminacyjnej, produkcyj muzycznych i czteroręcznego pisania na maszynie, zdobyli druk dla swego czasopisma.

Są to, doprawdy, rzeczy tajemnicze. Jak się stało, że wogóle całą treść złożyli do kupy, że się to nie pogubiło, że wkońcu doręczony został materjał do drukarni, że nie rozleciał się podczas korekty?

Tajemnica pracy zbiorowej! Pół klasy wisiało zapewne na zecerze, lub może jeszcze z przyjaciółmi drugiego oddziału, latali cały tydzień między drukarnią, domem, gimnazjum, mieszkaniami redaktorów, — ale numer przedstawia się wybornie!

Po oświadczeniach profesorów („niech koło pisma skupią się ci, co gorąco marzą o Pięknej Polskiej Szkole“) idą artykuły zasadnicze:

Święto Samopomocy: — „Samopomoc w naszej szkole posiada wprawdzie dobrze prosperujący sklepik, poza tem jednak nic o niej nie słychać. Pracuje ona jak kret pod ziemią, o ile wogóle pracuje.

Wniosek: „Niech się zabierze do pracy a może jeszcze w tym roku będziemy obchodzili jej święto!“

Dział lotniczy, — trzy artykuły.

Potem, — ważny artykuł: Jak urządzić małą pracownię fizyczną w domu? — Czytamy tu między innemi ciekawy przewód, zaczynający się od sprawy ogólnej, potem jednak dokładnie ilustrowany przykładami.

Jak urządzić pracownię fizyczną w domu?

Odpowiedź: „Zapewne dużo osób chciałoby wykonywać doświadczenia fizyczne w domu. Bardzo niewiele środków do tego potrzeba. Przedewszystkiem należy postarać się o stół. — Autor artykułu wie, że można tu napotkać na trudności, pisze więc dalej: — Można go z łatwością zastąpić przez zwykłą skrzynię. Bardzo dobrze jeżeli doświadczenia wykonywuje się wpobliżu gazu, gdyż płomień spirytusowy jest niejednokrotnie zamały. W braku gazu można jednak samemu zrobić palnik spirytusowy“.

Czytamy dalej: „Zamiast zlewek można z powodzeniem używać szklanek np. po musztardzie, jeżeli grubość dna i boków jest jednakowa (teraz nikogo już nie zdziwi, że świeżo kupiona musztarda powędruje do zlewu, chodzi o grubość boków i dna szklanki!!). Cylindry i kry-

stalizatorki robić można przez obcinanie butelek. Dobrze jest kupić parę probówek. Ktoś pracowity może sobie zrobić podstawkę do nich...“

Dalej idzie dział sportowy: Kolarze szykujcie swoje rowery! Ma się jechać do Wilanowa, o ile jeszcze czas pozwoli także do Pyr, droga niedobra, trzeba będzie jechać ścieżkami.

„Niech każdy z nas, kolarze, zaopatrzy się (zaopatrzy!) na wycieczkę w śniadanie, — najlepiej brać pudełko konserw i kilka bułek, klej, łatki, klucz do zakręcania śrubek... Jeżeli ta wycieczka nam się uda, to możemy zrobić drugą do Raszyna. Wartoby przecież zwiedzić tę historyczną miejscowość. Po drodze możemy wstąpić na lotnisko do Okęcia i zobaczyć nowoczesne hangary samolotowe“.

Jeśli gdzie czytać trzeba między wierszami to tu: Podziwiam mądrość i takt redaktora: Czy historyczna miejscowość jest dostateczną atrakcją? Chyba — nie. Ale przecież po drodze można jeszcze zwiedzić nowoczesne hangary, panowie!

Ileż w tych dwóch zdaniach pośpiechu radosnego a zarazem kłopotu pokolenia, które wydziera się naprzód z całej naszej przeszłości.

Dział sportowy (trzy stronice druku) przynosi sprawy mistrzostw bokserskich Polski, piłki nożnej, głosi sławę Petkiewicza, Kusocińskiego, Sztekkera i Arskiego.

Następne dwie stronice poświęcili redaktorzy morzu: „Dziś, skoro tylko powłoka lodowa spłynie z Wisły i innych rzek polskich na martwych do niedawna ich falach ukazują się setki żagli białych. Płyną piękne statki

klasowe a obok nich byle jak sklecone łódeczki. Najmniejszemi dopływami Wisły, zdążają ku morzu gromady młodzieży, gnanej tęsknotą do szerokich przestworów morza“.

Inny znów redaktor opisuje Muzeum Kaszubskie, położone nad jeziorem Wdzydzkiem, które wygląda, — jak „wielka niebieska szklana tafla, otoczona zieloną ramą lasu“.

Wiem, ileż to pracy i natchnienia kosztuje, by znaleźć takie porównania: „Niebieska szklana tafla, otoczona zieloną ramą lasu“.

Bardzo dobrze!

Jak widzicie, zacni ofiarodawcy pierwszy numer czasopisma To i Owo, — przeczytałem porządnie i uważnie.

Skoro jednak wyświadczyliście mi ten zaszczyt, ofiarowaniem pierwszego numeru, pozwólcie, że wam za ten zaszczyt podziękuję i opowiem, jak to ja z memi kolegami kilkadziesiąt lat temu redagowałem nasze pierwsze pismo szkolne.

Jak je redagowaliśmy i co z tego wynikło?...

II

Tytułu tego naszego pisma nie pamiętam. Zdaje się, nazywało się poprostu. — Klasa III B.

Ja chodziłem do B.

Redagowało nas trzech: Naturalnie ja, choć nie wiem dlaczego wzięli mnie na redaktora, bo bałem się tej sprawy.

Otóż, — ja, pewien syn znakomitego historyka lite-

ratury (dziś jest uczonym socjologiem) i pewien brat młodego wówczas, lecz już znakomitego poety (ten brat jest dziś znakomitem rybiarzem, tak wielkim znawcą ryb, że wykłada o nich na uniwersytecie i ratuje całe pokolenia rybie w najróżniejszych częściach świata).

Brat poety i syn historyka namawiali mnie bardzo długo, bym wziął udział w redagowaniu naszego pisma.

Wymawiałem się bardzo długo, że nie chcę, ale oni mówili, że muszę. Wtedy ostatecznie powiedziałem im, że nie mam nic *napisanego.*

Odpowiedzieli, że mam świetną rzecz, mianowicie Opis Jesieni.

Z tego Opisu Jesieni dostałem niedostatecznie, ale cała klasa twierdziła, ze właśnie dlatego opis jest jeszcze lepszy. Było tego dobrego conajmniej na pół zeszytu, w danym razie syn historyka i brat poety postanowili wybrać tylko najwspanialsze miejsca.

Brat poety wystąpił z wierszem, który miał cztery zwrotki. Pamiętam ostatnią, w której było jedno słowo, — twierdziliśmy, — że właśnie jedno takie słowo znamionuje prawdziwego poetę.

Owa ostatnia zwrotka szła tak:

O widać i słychać
Jak pięknie na polu,
dojrzewa już zboże,
choć mało kąkolu.

Słowem, które znamionuje odrazu prawdziwego poetę, było — *choć.*

Dlaczego?

Dlatego, że przeciętny gospodarz, zwykły rolnik

skarżyłby się, iż szkoda, skoro zboże już dojrzewa, że w niem dużo kąkolu.

Tymczasem poeta i to prawdziwy nie zwraca uwagi, czy kąkol jest niepożyteczny, czy nawet szkodliwy! Prawdziwy poeta widzi odrazu w takim kąkolu — piękność kwiatu.

Byliśmy tak dumni z tego, że nasz kolega, brat poety, napisał *choć* mało kąkolu, iż deklamując tę strofkę, przed „choć“ robiśmy pauzę, potem wykrzykiwaliśmy bardzo głośno „choć“, potem znowu szła pauza i wtedy dopiero mówiło się już całkiem łagodnie i spokojnie resztę, czyli „mało kąkolu“.

Syn historyka literatury napisał powieść z rzeczywistym dalszym ciągiem. To znaczy po czterech stronicach tej powieści szło c. d. n.

Spieraliśmy się dość długo, czy ma to być napisane dużemi literami C. D. N. — czy małemi? Było bowiem, jak dla nas, rzeczą niebywałą, aby człowiek napisał taki długi kawałek i wiedział że coś dalej potem nastąpi. Syn historyka uśmiechał się pobłażliwie.

Przekonaliśmy się później, że mógł się tak uśmiechać i mógł być zupełnie pewny dalszego ciągu swojej powieści, — cała bowiem ściągnięta była z trylogji Sienkiewicza, prócz nazwisk osób działających i opisów: Wszystkie opisy zostały w powieści naszego kolegi wyrzucone, — pozostały tylko rozmówki i samo „dzianie się wypadków“.

Wiersz ze znakomitem *choć*, mój sławny opis jesieni (było w nim cudne miejsce o dymach włóczących się nad polami), powieść syna historyka literatury, potem

wypadki i rozrywki, — czyż mało tego dla wypełnienia numeru pisma III-cia B!?

Nie marzyliśmy, — rzecz prosta, — o drukarni. Nie wolno nam też było brać się jawnie do roboty redakcyjnej. Ale właśnie ten tajemniczy okres pracy redaktorskiej był chyba okresem najszczęśliwszym.

Złożyliśmy się wspólnie na hektograf.

Nie znałem wówczas jeszcze hektografu i nie rozumiałem dlaczego mówiąc o nim, brat poety wspomina ustawicznie o jakiejś masie, którą trzeba będzie przelać, — przetopić.

Jak się stało, że nie wiedząc zupełnie o co chodzi, co to jest hektograf, do czego służy owa masa, — jak się stało, że nie wiedząc tego wszystkiego trzymałem się bardzo ostro w tych dyskusjach nie wiem i nie rozumiem.

Syn historyka przyniósł kiedyś wreszcie małą brytwankę z masą i wzięliśmy się do roboty. Przelewaliśmy to, smrodziło się okropnie, pobabrały się nam ręce, i policzki.

Zapach hektografu po dzień dzisiejszy uważam za jeden z najpiękniejszych i najbardziej tajemniczych. Gdy później uczyliśmy się o księgach heretyckich palonych na stosie, wyobrażałem sobie zawsze, że musiały być w tajemnicy odbijane na hektografie.

Ostatecznie wszystko już zostało odbite, do szycia najzdolniejszym okazał się brat poety, on też zszył numery naszego pisma, a — przyznać trzeba, — zszywał je tak gorliwie, iż nie brał do tej roboty nożyczek, każdą grubą nitkę przegryzając zębami.

Ponieważ on właśnie, brat poety ukradł był skądś hektograf, ponieważ on szył i przegryzał zębami grubą tapicerską nitkę, przeto on zdobył sobie prawo przyniesienia i rozdania egzemplarzy naszego pisma w szkole.

Szedł z niemi (dziesięć ich było, o ile mnie pamięć nie myli) środkiem ulicy, my obaj po bokach.

Nie umiałbym wtedy ani dziś nawet opisać uczucia, jakiego doznaliśmy, gdy egzemplarze III-ej B znalazły się w pulpitach naszych kolegów.

Poprostu, — uczucie cudu!

Poprostu, — jakbyśmy wszyscy trzej, brat poety, syn historyka i ja, leżeli we własnych osobach wśród książek naszych kolegów, mimo, że przecież stoimy tu na korytarzu i rozmawiamy.

Cud!

Jak się stało, że nasz profesor łaciny jeszcze tego samego dnia dostał do rąk egzemplarz, cudny hektografowany egzemplarz III-ej B, dokładnie nie pamiętam. Zdaje się, że stał obok ławki, coś tam podpowiadali, książki się wywaliły na podłogę i razem z niemi hektografowana III-cia B.

Nasz profesor łaciny podniósł egzemplarz z podłogi i przeczytawszy okładkę, nie trzymał już tego egzemplarza w ręku, jak się trzyma, — choćby tylko porządny kawałek papieru. Lecz trzymał w ręku nasze pismo, — jakby to była brudna mokra ścierka, czy też coś obrzydliwego, naprzykład rozdeptana mysz!

Nasz profesor łaciny potrafił to zrobić tak, że śliczną hektografowaną naszą III-cią B trzymał, jakby za ogon.

I tak dzierżąc ów egzemplarz za jakiś wstrętny domniemany ogon, — zaniósł na katedrę.

Pierwsze słowa, które wypowiedział nasz profesor łaciny, stanąwszy na katedrze, były:

— Cóż to za głupstwa?!

Naturalnie, my nic. — milczenie.

Na to profesor łaciny, zaczął przewracać kartkę za kartką i krytykować.

Nad moim opisem jesieni (przy pisaniu którego, — podczas opisu burzy — zrobiło mi się prawie straszno) śmiał się.

Nie wiedział, że to ja, gdyż wogóle, w obawie przed awanturą, nie podpisywaliśmy się pod naszemi dziełami.

Nie wiedział że to ja, ale rechotał, jakby specjalnie przeciwko mnie.

Wyrechotawszy się bezecnie zapytał, którzy to z nas redagowali to „błazeństwo“? Żebyśmy się przyznali, bo on i tak pozna.

My, oczywiście, — ani słowa, jak mur. Tylko jeszcze raz spojrzeliśmy na siebie, jak przed ścięciem: — syn historyka, brat poety i ja.

On na to, że wszystko i tak pozna; — poczem znów wstrętnie zarechotał.

I znowu dwoma palcami, jakby to było coś brudnego, obrzydliwego przewracał stronicę zeszytu naszej III-ej B.

Natrafiwszy na utwór (powieść z wspaniałem c. d. n.) syna historyka zaczął wołać ze śmiechem, — jakto można tak okradać Sienkiewicza?!

Zacisnęliśmy zęby, żeby raczej pęknąć, ale się nie zdradzić.

I nie zdradzilibyśmy się, gdyby nie ów wiersz o kąkolu oraz autor wiersza brat poety.

Gdy profesor łaciny doszedł do tego miejsca i gdy przeczytał wszystkie strofki, natrafił, naturalnie, i na ostatnią:

O widać i słychać
Jak pięknie na polu,
dojrzewa już zboże
choć mało kąkolu.

Nasz profesor łaciny, odczytawszy — „choć mało kąkolu“, zaśmiał się złowrogo i krzyknął:

— A cóżto za skończony dureń!!

Gdy profesor łaciny wykrzyknął — dureń — poruszyła się cała klasa, siedząca dotąd spokojnie. Po słowie dureń załomotało w tylnych ławkach, hałas przeniósł się do pierwszych, aż wreszcie wszyscy razem, od pierwszej do ostatniej ławy wrzasnęli zgodnie: — Dureń! Idjota!!!

Wówczas brat poety, wyrzuciwszy naprzód ramiona, runął z płaczem na ławkę.

Wtedy zaś my też nie wytrzymaliśmy, syn historyka i ja: Rozbeczeliśmy się okropnie.

Było to straszne, bo wtedy profesor łaciny zatriumfował ostatecznie: Że wiedział, że tak będzie, że zawsze sobie da z nami rady; że nie wiedział tylko, iż ma w klasie takich genjuszów, redaktorów i t. d. i t. d.

Tego wstrętnego gadania było później bez końca.

Czy nasz profesor łaciny był jakimś specjalnym okrutnikiem?

Nic podobnego.

Za naszych czasów modna była taka srogość wobec młodzieży.

Dziś jest już całkiem inaczej. A przecież to zaledwie trzydzieści lat pomiędzy moją III-cią B i waszą dzisiejszą III-cią!

Trzydzieści lat — i macie druk i profesorowie składają życzenia waszemu pismu i rozsyłacie je po całem gimnazjum, podczas gdy my przelewaliśmy masę ukradkiem pod schodami!

Trzydzieści lat to w historji — nic prawie. A jednak patrzcież, jaki olbrzymi postęp! Dziękując tedy redakcji To i Owo za przesłanie pisma, chciałem na to zwrócić uwagę: Jak nam było ciężko — o ile wam jest lepiej. I, ile pracy, cierpień, strasznych walk zużyto, by taką sprawę posunąć o jeden stopień dalej.

A potem jeszcze jedno: Za lat trzydzieści, gdy znów wy będziecie dorosłymi, — jacyś inni z innych klas III-cich A, czy też B, wymyślą coś innego, bardzo nowego.

Bądźcież wtedy ostrożni i dobrzy: Nie śmiejcie się, jak nasz uparty profesor łaciny, a każdą nowość, podawaną z miłością i zapałem, witajcie otwartemi ramionami.

ACIAK — RANNY!

(CZYLI ACIAK ZOSTAJE HUMANISTĄ)

Najmniejszy ze wszystkich Aciaków *Pierwszej A*, i to właśnie mój syn, mały dzielny Aciaczek, — został ranny.

Stało się to na wielkiej przerwie.

Powiedzieć „dzielny“, — może za dużo. Ten mały Aciak uczuł w pewnej chwili, że natężenie walki przechodzi jego drobne siły. I właśnie przestał być dzielnym.

Co miał robić wobec srogiej potęgi innych barczystych Aciaków, czy też rozrosłych przebrzydłych Bekasów?

Jako koń — nie przedstawiał żadnej wartości. Kto wsiądzie na takiego małego Aciaczka? Jaka to będzie jazda, jeżeli naprzeciw wyłoni się jakiś potężny Bekas, siedzący na barana na jeszcze większym, ileż mocniej tupiącym Bekasie?

Jako jeździec: — Czy warto tracić konia dla tak małego jeźdźca?!

A tu ze wszystkich stron wyjeżdżają olbrzymy, wyłaniają się z korytarza, krążą między ławkami, wywijają pięściami i wrzeszczą.

Aciaczek uznał, że w takiej chwili najlepiej zostać — humanistą: Udawać, że niby nic, że niby tu walka, tu straszny bój, a tu tymczasem *ktoś inny* z ogromnem zajęciem czyta książkę.

Maja, Pola Naftowe.

Walka z Bekasami ma trwać do czwartej klasy. Niema na to żadnej rady. Dopiero w czwartej klasie, gdy z obydwóch stron odpadnie wielu Aciaków i Bekasów, utworzona z nich zostanie jedna klasa wspólna.

Do tego czasu walka musi trwać. Fajka pokoju wypalona niedawno, z tych właśnie przyczyn przyszłej wspólnej czwartej klasy, okazała się bujdą.

Cztery lata wielkich walk, a czy wyrośnie się przez cztery lata na tyle, by móc występować choćby w charakterze jeźdźca, — jeżeli już nigdy marzyć nie można o niedościgłej roli konia?!

Aciaczek wie to wszystko.

Jest srogi, krzyczy odważnie na widok Bekasów, leci razem z wszystkimi Aciakami na wrogów, w ostatniej chwili jednak, podcina mu coś nogi.

Napewno strach!

Wtedy wraca bokiem, chyłkiem, koło ściany i niby zapomina, że to walka i niby, — robi nagle coś innego... Poprostu — czyta!

Czy może jednak siedzieć w kącie, w ostatniej ławce i rzeczywiście, naprawdę czytać, gdy tam na korytarzu, lub już w klasie, w okolicach tablicy, leją się jego koledzy po łbach z Bekasami?

Co zrobić? Jak tu, — niby dalej czytać, a równocześnie podejść bliżej, zobaczyć, widzieć tę walkę

ogromną, w której biorą już teraz udział wszyscy pierwsi siłacze stron walczących?

Aciaczkowi wydało się, że znalazł wyjście doskonałe: Można czytać a zarazem można być bliżej walki.

Nibyto czytać — a zarazem chodzić z książką w ręku.

Czyż czytanie „chodzące“ nie jest takiem samem czytaniem, jak każde inne?

Aciaczek wstał z ostatniej ławki, gdzie się był uprzednio wycofał przed rumorem potężnej walki i niby czyta, — czyta. Tu niby indjanie, pola naftowe, czy też jakieś kalify, Bagdady, lecz równocześnie przybliża się do sławnych terenów przed tablicą, gdzie dudnią obcasy Aciaków, przeciw marnym buciarom Bekasów.

Wtedyto stało się nagle owe nieszczęście!

Uderzony rozpędem przebiegającego obok, własnego, aciackiego konia, upadł na podłogę. Upadł wadząc głową o kant ławki.

Bój ustał.

Bekasy — w nogi!

Aciaki pozsiadały coprędzej z Aciaków-koni, i obstąpiły płaczącego na ziemi Aciaczka.

Okazało się, że jest to chyba prawdziwa rana. Z za ucha płynęła krew.

Jedni zaczęli lecieć do kranu, inni pobiegli po doktora, inni do swych starszych braci z piątej i szóstej klasy, inni do kancelarji.

Tym, którzy zostali przy rannym Aciaku zrobiło się najnieprzyjemniej, bo zawsze tak jest i teraz wyjdzie na to, że ci są winni, którzy byli najbliżej.

Coprędzej wyprowadzili rannego Aciaka na korytarz,

na korytarzu bowiem może się znaleźć zawsze o wiele więcej różnych winnych, niż w własnej klasie.

Z korytarza, wśród wspaniałych okrzyków — nie dotykaj palcami!! — wprowadzili rannego Aciaka do kancelarji dyrektora.

A co im mógł teraz zrobić dyrektor, gdy mieli wśród siebie rannego?

Nic.

Nietylko nic, lecz nawet sprowadził skauta z ósmej klasy, który zaraz wziął się do opatrunku.

Do opatrunku — przy dyrektorze, przy sekretarzu, przy wszystkich kolegach w samej, — gdyby tak można powiedzieć, — własnoręcznej kancelarji dyrektora.

Mały Aciak nadstawił miejsce za uchem pod pęk „zajodynowanej“ waty, potem wodził głową w miarę osnuwającego bandażu i byłoby się wszystko doskonale skończyło, — gdyby nie książka!

W chwili, gdy skaut-ośmioklasista podpinał już bandaże, duma Aciaka wezbrała tak dalece, że spojrzawszy przed siebie załzawionemi oczyma, westchnął głęboko i książkę, — którą był trzymał podczas całej tej przygody, — upuścił z rąk.

Sam dyrektor podniósł ją i głośno przeczytał z pierwszej strony — *Pola Naftowe.*

Z tego wyszło, że nie powinno się czytać na przerwach. Z tego wyszła cała specjalna godzina wychowawcy. Z tego wyszła potem wogóle cała niesprawiedliwa bujda, gdyż mały Aciak chciał być rannym w bitce a nie przy jakiemś zwykłem, marnem czytaniu.

Z tego wyszło, że nagle przyznali się inni, którzy

Aciaka wtedy tak ciężko potrącili, ale jakże mogli potrącić, gdy wcale nie czytał i walczył?! Ale jakże mógł walczyć, gdy miał książkę pod pachą?! Więc wyszła z tego rzecz pono najgłupsza, że ci, co potrącili, mieli udać się do domu rodziców rannego Aciaka, żeby tę sprawę omówić z jego ojcem.

Poszli.

Kolega, syn prawdziwego wojewody, ofiarował rannemu auto do przewiezienia.

Oczywiście — głupstwo! Któżby mając tak wspaniałą ranę marnował ją dla auta? Choćby nawet dla auta wojewody!

Poszli — piechotą.

Ranny Aciak na czele, z głową w bandażu wielką jak poducha, z czapką w ręku. Na czele Aciak, za nim o pół kroku dwaj winni, którzy małego Aciaka potrącili, za nimi cała gromada wiernych świadków, ustawicznie gadających.

Świadkowie zatrzymali się na schodach, ranny Aciak na czele obu winnych wkroczył kuchnią, — budząc zgrozę Janowej, — do jadalni.

Na mój widok wszystkie trzy Aciaki szurgnęły żałośnie nogami.

Na mój okrzyk, ranny Aciak wspomniał w nagłem olśnieniu przebyty ból i cios. Jeszcze raz trysnął jasnemi łzami, poczem wszystkie trzy Aciaki zaczęły mówić jeden przez drugiego.

Okazało się z mowy równoczesnej, że wszystkiemu winien był — pan wychowawca: Bo jeżeli chce sobie człowiek odświeżyć trochę umysł, dlaczego ma nie

czytać podczas przerwy? A co może mieć czytanie do walki?!

Ranny Aciak z głową w bandażu wielką, jak poduszka, staje między kredensem a stołem, już nakrytym do obiadu, i pokazuje, — jak szedł z książką.

Tamci dwaj, winni, już znów zboku wyjeżdżają; ja wołam, że rozumiem i że nie trzeba drugi raz tego wszystkiego odgrywać, pytam też, czy rzeczywiście, aż do czwartej klasy, — muszą się bić?

Czy muszą czekać na zgodę, aż ich tylu poodpada?

Muszą! A dyrektor nie wie poprostu co mówi, wychowawca też nie ma pojęcia, — zamiast żeby zrozumieć nareszcie — nowy zakaz wymyślili, — by nie czytać książek podczas przerw.

Winni wychodzą, słychać grzmot wielu butów na kuchennych schodach. To winni wraz z wiernymi świadkami zbiegają na dół.

Aciaczek mój rozejrzał się dokoła, westchnął, objął mnie przez ramię, obandażowaną głowę złożył cicho na mej piersi i teraz wreszcie przyznał się niespodzianie, że — niby, ale czytał, bo tamci byli grubo za silni...

Na to ja, że jeżeli dzieje się coś wielkiego, naprzykład taka bójka, zawsze lepiej bić się, niż udawać co innego.

Na to Aciak przysłoniwszy spłakane źrenice powiekami i westchnąwszy głęboko, odrzekł: — To nie jest takie proste, bo oni są grubo silniejsi... Grubo, — grubo silniejsi... Rozumiesz teraz?

Zrozumiałem chyba?! Zrozumiałem, że dnia tego mały Aciak pierwszy może raz w życiu działał — jak prawdziwy humanista.

MARKI W PAPIEROŚNICY

(CZYLI SPOSÓB JEDYNY PRZECIW POWODZI)

Zaczęło się to od papierośnicy na cygara plecionej z biało bronzowych australijskich słomek, którą przywiózł mi kiedyś z zamorskiej podróży dawny dobry znajomy.

Papierośnica ta leżała u mnie w pokoju na półce z książkami, przed zbiorowem wydaniem Szekspira.

— Dlaczego ją tu położyłeś? — zapytał jeden z Aciaków, gniotąc elastyczną słomkę w zasmarowanych palcach.

— Dlaczego ją tu położyłem? Aby była pod ręką. Jak widzisz, leży całkiem spokojnie i wcale się nie skarży.

— A jakżeby się mogła skarżyć?!

— Nie wiem, jak. Możeby jednak mogła. Zobacz, co tam jest w środku.

Do środka kładę oddawna różne ciekawsze, cenniejsze marki, oddzierane z bieżącej korespondencji. Chowam je tam — na wszelki wypadek: Aby się nie marnowały, a także, — bo się mogą kiedyś na coś przydać.

Teraz już, po tem, co się później stało sądzę, że

właśnie wszystko tak się zawsze zaczyna i tak właśnie jedno z drugiego wynika: Wynika z przezornej myśli o marnowaniu i o przydaniu się; a także i z przyczyny jakiegoś starego przedmiotu, który bywa zazwyczaj bardzo rozumny, czeka gdzieś, niby to niepotrzebnie a jednak cierpliwie, choćby u stóp zbiorowego wydania Szekspira — na nowe koleje losu.

— Zobaczże co tam jest w tej papierośnicy?

— Cygara pewno.

— Nie cygara.

— No więc co? Aha, — marki. — Chwila namysłu, — paluchy przebierają w chrzęszczących markach i krótki stanowczy okrzyk: — Bujda!

Ja, że wcale nie bujda. W krótkich najprostszych słowach staram się przedstawić Aciakowi rolę znaczka pocztowego.

— Popatrzże się: Mały kawałek, cóż tu mówić! Kawałeczek papieru, podśliniony gumą arabską. Ten mały kawałeczek papieru z jakimś nadrukowanym obrazkiem, pałacem, czy wodzem, czy prezydentem, czy nawet z jakimś widoczkiem, — wyobraża cały kraj. List, gdy do koperty przykleisz taki kawałeczek papieru, nabiera niezwykłej siły. Wali przez morza, kraje, wyspy, na drugi koniec świata. Wszyscy się nim po drodze opiekują.

— Bujda, — bujda, — bujda!

Już wiem, dlaczego bujda: Pod zbiorowem wydaniem Szekspira, obok chrzęszczącej papierośnicy stoi armatka, obok zaś leży sznureczek z nanizanemi nabojami armatniemi. Mój wykład o markach trwał za długo,

zgłębi mieszkania nadleciał (Aciaki nie umieją biegać a tylko latają) drugi Aciak, zdobywca.

Prycha na środku pokoju i woła: — Arcia już pokonana! I polak — pokonany! I anglik pokonany! Teraz — strzał! Trzy strzały!!

Jest to słuszne, sprawiedliwe i obustronnie umówione: Po każdym pokonanym przedmiocie, uczący się mają prawo do jednego wystrzału armatniego.

Po pokonaniu trzech przedmiotów mają prawo do trzech wystrzałów.

Armatka znika w ręku jednego Aciaka, drugi schwycił nitkę z nabojami.

Już byli w drzwiach, lecz znów wrócili po wycior, czyli przedwiekową szpilkę damskiego kapelusza, służącą teraz do przecierania armatniej lufy. Strącili przy tem australijską papierośnicę na podłogę.

Wołam jeszcze za nimi: — Na Boga zamykajcież przynajmniej drzwi! — a tu już z głębi mieszkania rozlegają się, jeden po drugim, trzy strzały.

Czyż nie byłem zapobiegliwym? Czyż pakując różne dalsze i ciekawsze marki do australijskiej papierośnicy nie uprzedzałem poniekąd niebezpieczeństwa? Czyż pokazując te różne Chiny, Marokka, Tunisy, Madagaskary, Estonje, Finlandje, Turcje nie szczepiłem zawczasu choroby?

Rozwój wypadków okazał, że zabiegliwość moja przyśpieszyła tylko to wszystko, co później z taką siłą wybuchło.

Oto, pewnego popołudnia Aciak po zwycięskiem pokonaniu polaka i geogry, po przygotowaniu jakiegoś

rysunku, widok którego ma „zatkać“ samego dyra — stanął w drzwiach mego pokoju rozciągając ramiona od jednej ramy szeroko aż do drugiej.

Powiedziałem machinalnie: — Armatka, jak zawsze pod Szekspirem.

Aciak — nic.

Zwracam głowę.

Aciak uśmiecha się tajemniczym uśmiechem.

Tajemniczym: Uśmiechem, którego nie rozumiem, którego z pewnością on sam, stuprocentowy Aciak nie rozumie. W pokoju moim mrok już prawie panuje — a na twarzy Aciaka, jakby leżało jasne światło słoneczne.

Czyż to nie jest sprawa tajemnicza?

— Bo przyszedł do nas, ten z naprzeciwka, — śmieje się Aciak wstydliwie. Nie kończy zdania, idzie na palcach ku półkom bibljoteki, ostrożnie bierze papierośnicę australijską w obie ręce i na palcach, nie patrząc na mnie wychodzi.

Ten z naprzeciwka! Chyba, że od początku świata wdaje się zawsze w takie dziwne sprawy ten jakiś-takiś z naprzeciwka!

Dawno tu krążył, przychodził i odchodził, zjawiał się i znów znikał, ale nigdy na dłużej do niczego nie przystał. Może badał i śledził tylko? Ten z naprzeciwka, Aciak, czy już nie Aciak, może Bekas, a może Trzeciak?

Siedzi w pośrodku aciakowskiego pokoju na podłodze, — więcej dyszy, niż mówi. Siedzi, lecz równocześnie, jakby śpieszył się i dyszał całem ciałem. I takie oczy ma i taki nos, takie policzki, bluzkę i takie wszystko:

Jakby różowość gładka pomieszana z szarym skłębionym dymem.

Taki jest, — taki jest.

Moje Aciaki tkwią obok na podłodze cicho i bardzo skromnie.

Ten z naprzeciwka, Leszek, czy Zbyszek, chce wstać na mój widok, — ukłonić się, czy też przynajmniej szurgnąć nogą. Ale oba Aciaki wołają zgodnie: — Siedź.

Powtarzam: — Siedź.

Więc tylko noga sama szurgnęła po podłodze i znów ten jakiś Leszek czy może Zbyszek, — bo to nikt nie pamięta, — wyciąga z australijskiej papierośnicy przeróżne marki.

Tak je wyciąga, tak ogląda i waży w palcach, tak rozumnie przymierza do czegoś całkiem innego, czego tu nigdzie niema, — że jakby to nie były wcale marki.

Leżą tak roztropnie obok siebie, na podłodze, jedne jakgdyby lżejsze, drugie cięższe. Aż strach bierze, ile wagi, rozumu, sensu wdało się teraz nagle między te papierki.

— Każda marka, — powiada ten z naprzeciwka, dysząc przypochlebnie, — ma przecież swoją wartość. Wartość. Każda musi mieć wartość.

— A ta, powiedz, a ta? — Aciaki z wielkim namysłem pochylają głowy.

Ten z naprzeciwka, Leszek, czy Zbyszek, czy jak mu tam, — snuje pomiędzy Aciakami istne czary:

— Ta marka tyle, a ta tyle, a ta znów tyle. A ta, powiadam ci!

Siedzieli długo razem, na kocu, aż nosami przyni-

kali do podłogi, potem coś zaszumiało, jakieś żegnanie, zapewnienie, pamiętanie, wynikł zaś z tego, gdy się już drzwi nareszcie za gościem zamknęły, jeden okrzyk: — Klej!!

— A jakiżto znów klej, do licha? Stolarski, czy też mączny?

— Nigdy w życiu, warjacie, zwykły klajster!

— Właśnie, że klej!

Więc klej: Smędraczy się na kuchni.

Potem lepienie.

Trzewiki czepiają się podłogi, podłoga puścić nie chce wielkich, wzdętych arkuszów papieru.

Lepienia coraz więcej, — każda wolna chwila, — lepienie. Ten z naprzeciwka czuwa. Przynosi całe stosy nowych marek, ale zato nasze wybiera z papierośnicy i chowa do swojego portfelu.

Za jedną markę daje dziesięć, daje dwadzieścia innych. To dopiero przyjaciel!

Tłumaczę skromnie, że marki widzę wcale nie po raz pierwszy w swojem życiu; że miałem wuja, który też zbierał marki, — ale jak? Kąpał je na miseczce, z miseczki znów wyciągał szczypczykami, nie madźgał tak —

— A teraz co porabia ten wuj? — śmieją się oba Aciaki.

— Teraz nie żyje, nie o to chodzi, wtedy jednak, gdy zbierał —

— Dobre sobie, nie żyje! Więc nie miał najmniejszego pojęcia o markach, rozumiesz to?!

Ten z naprzeciwka, chłopaczek szary, lecz jakgdyby

jakąś różową pomyślnością, czy też nadzieją tchnący, przychodzi i odchodzi, przynosi i oddaje. Marek z papierośnicy na cygara ubywa, zato przybywa bez liku innych, zwykłych.

Arkusze suszą się na fortepianie, na łóżkach, stołach, nawet na oknie salonu, pomiędzy kaktusami.

Ja wciąż ostrzegam, że tu nie o to chodzi, że tu chodzi o wartość marki, ale cóż?

Wszystko — bujda! Bujda, bujda i bujda, — ten z naprzeciwka zna się na tem wybornie, świetnie.

Aż nagle wszystko nanic!

Dlaczego znowu nanic?!

Dlatego, — że ukazał nareszcie właściwe swe *oblicze*.

Poprostu przyszedł kiedyś nieznacznie, przedpołudniem z swoim własnym marnikiem.

Albumem. W którym każda marka i nawet nasza, polska, — ma swój wzór drukowany. Oraz światową cenę. Na brzegu każdej stronicy albumu wydrukowane jest to wszystko po niemiecku. A są także do tego słowniki. Francuskie, lub angielskie.

— To bardzo dobrze, cóż to jednak za związek z tym jakiemś obliczem?

— Ha, dobryś!

Dowiedziałem się o tem wszystkiem szczegółowo, pisząc artykuł. Piszę, a tu przybiega do mnie Aciak, — nie przybiega, lecz skrada się lisim skokiem na palcach: Skokiem wypróbowanej dżungli... I szeptem, białym szeptem, od którego niebieskie oczy Aciaka stają się czarne, powiada cicho: — On sobie wkleił do al-

bumu wszystkie nasze marki z twojej papierośnicy. Masz — jego *oblicze!...*

— Tak? — Odłożyłem pióro, Aciaka już nie było. Siedzieli w swoim pokoju na podłodze, na kocu. Jest to miejsce narad i najważniejszych konferencyj.

Ten z naprzeciwka w środku, Leszek, czy Zbyszek znów pokazywał marki i uśmiechał się do znaczków. Czytał o nich z albumu, nie rozumiejąc zresztą ani słowa po niemiecku.

Aciaki pokazywały raz po raz: — Przecież chyba pamiętasz, ta była nasza.— On zaś nic, tylko kiwał głową zwichrzoną, przytakiwał i ostrożnie przewracał kartki.

Nakoniec rzekł: — Zamieniliście się, bo nie znaliście się wogóle na markach. Bez albumu nikt się nie może poznać. Musicie sobie kupić album.

Kto nie widział wówczas Aciaków, ten nie widział, jak w wielkich, czystych oczach rozpacz i zgroza mieszają się z wieczną wiarą w zwycięstwo.

Wreszcie obaj zerwali się z podłogi i jednym głosem zakrzyknęli: — Album!

Ten z naprzeciwka nawet nie podniósł głowy. Oni zaś poskoczyli do mnie nowym radosnym krokiem: — Album, album!!

Zaraz też okazało się, jakie mam długi: Dwie tygodniowe pensje zaległe. Za wyjęcie trzech zębów!

Zgadzam się i już nikogo niema tu w pokoju.

Telefon: Telefonują naraz, wszyscy trzej. Potem już stoją przy drzwiach ubrani i gotowi. Dzwoni kuchnia. I front. Mój portfel, — forsa. W przeciągu kilku minut

powstał już tłum Aciaków, skłębił się przy jednych drzwiach, przy drugich i oto wyskoczył wreszcie frontem — kupić album.

Kupili, przylecieli zpowrotem, wygnali gości i pomocników, obiad zbyli co prędzej i z wielką księgą marczaną zasiedli na kocu, — od popołudnia aż do późnego wieczora.

W albumie cała sprawa utonęła odrazu, niby w głębinie niezgłębionej. Badanie szło na klęczkach, pośród okrzyków: Kuba, Wenezuela, Kongo! Gdzie też może być Kongo? Gdzie Luxemburg? Patrz, tu masz nawet ceny!

Nakoniec znalazł się album i na moich kolanach. Dowiedziałem się przy tej okazji od jednego z Aciaków niezmiernie smutnej prawdy. — Czy wiesz, że nawet Polska jest tylko jednym z krajów? Czy wiesz, że Polska leży w Europie, a cóż to jest ta cała Europa wobec świata?!

— Nie widzę, by należenie do Europy ubliżało Polsce.

— Być może, nie ubliża. Wynika z tego jednak, że teraz... Teraz tylko *my* się już będziemy zamieniali! Z *nami*, możesz być pewny, z nami nikt się już więcej nie zamieni...

Jakiż związek zachodzi między przynależnością Polski do Europy, a sprawami zamiany?

Po drugie: Jak można się zamieniać, bez udziału tych jakichś innych, którzy z nami handlują?!

Wyjaśniło się to, coprawda nie odrazu, lecz stopniowo. Więc przedewszystkiem, — koniec z tym jakimś Leszkiem czy Zbyszkiem z naprzeciwka.

Skończone raz na zawsze.

Zakończony też został wielki okres inflacji:

— Dosyć tych głupich marek, których im więcej jest, — sam widzisz przecie, — tem ciągle mniej są warte. Walają się coprawda jeszcze po szufladach i tu, czy tam wylecą szarym szeleszczącym rojem z pod szybkiej szczotki, gdy służąca zamiata pokoje. Królowie, czy królowe, książęta, czy wodzowie, czy drukowane góry, pałace, orły, korony — sypie się to, jak rój zasuszonych motyli, miecione z drzwi do drzwi.

Nie o to teraz chodzi. Skoro nawet Polska jest tylko jednym z krajów Europy, a czemże cała Europa wobec świata, — teraz gdy nic pewnego niema już na świecie, gdy można się zamienić tylko, lecz nigdy już nie można być, broń Boże, zamienianym, — teraz chodzi o wartość. O najprawdziwszą wartość, o jedyną.

Kupuje się ją pokryjomu, — ach tak, musi kosztować, — kupuje się ją z ciemnym, oschłym uśmiechem mądrości.

Kosztuje bardzo wiele, — Aciaki jednak płacą każdą cenę.

Idą na lody? Nieprawda! Siędzą w cukierni nad jednem, biednem ciastkiem — i już mają. Pojechali tramwajem? Nieprawda! Idą długo piechotą, tam i zpowrotem — i już mają. Chcieli kupić kamfory dla motyli? Nieprawda! I tak nikt nie potrafi zbadać gęstości zapachu. Nie kupili kamfory, oszczędzili — i znowu mają.

Wolą nie łapać motyli, nie jeść lodów, nie jeździć tramwajami, — byleby tylko wartości przybywało. War-

tość leży poważnie w albumie, schowanym jak najmądrzej, — głęboko na miedzianych basowych strunach fortepianu.

Przymnażanie tej wartości jest smutne, nie dlatego, że wyrzeka się człowiek tylu miłych rzeczy. Jest smutne, ponieważ zawsze musi ktoś inny wiele przy tem stracić...

Dowiedziałem się o tem wychodząc z domu: Spotkaliśmy się nos w nos tak niespodzianie, Aciaki, powracające z tajemnego kupna i ja.

— Ach, to jest tylko straszne, — zawołali, — że ta kobieta, która sprzedaje marki nie wie wcale, co sprzedaje! My wiemy, wedle naszego katalogu, że szalenie na tem traci.

— Więc jej powiedzcie, by sprzedawała drożej.

— Dobryś sobie! A Leszek, który nam zabrał wszystkie cenne marki?! Ludzie muszą się znać na wartości.

— No tak, ale nie możecie przecież obdzierać ze skóry waszej sprzedawczyni.

— Ona traci, ale i tak jeszcze, bardzo na tem zyskuje.

— Jakże zyskuje, na Boga, — skoro traci?

— Zyskuje, bo ona znów kupiła ten cały sklep, razem z markami, na których nikt się nie znał.

Wracamy z przedpokoju, siadamy na kanapie, aby się lepiej nad tem wszystkiem zastanowić.

Obejmuję Aciaków tak, że pod każdą swą dłonią czuję bijące serce.

Bije równo i mocno, — jakże czysto, prześlicznie!

Sprawa się wikła: Niewiadomo skąd wzięły się pieniądze na kupno, trudno to zbadać, chociaż jakoś wiadomo, że w tych nabytych znaczkach krąży tajemnie

„krew“ zaoszczędzonych lodów, ciastek, tramwajów, niekupionych zeszytów.

Wszystko na to, by rujnować biedną sprzedawczynię, która być może, nie wie, jakie skarby posiada, ale ma dzieci napewno, a te dzieci, teraz, być może właśnie z powodu takich strat, zostaną podczas wakacyj w mieście!

— A Leszek, a nasz Leszek z naprzeciwka?! — Aciaki patrzą na mnie srogim blaskiem gniewu i krzyczą, że o niczem nie chcą słyszeć.

Krzyczą, biją pięściami w dawne miejsce po papierośnicy australijskiej, powiadają, że pojęcia o niczem nie mam i nagle, — zaczerwienione z żalu, pasji, obrazy wylatują z pokoju.

Wołam za niemi, że jeszcze naradzimy się nad tem wieczorem.

Wieczorem, przed kolacją, po całym dniu rozmaitych trudów, odbywa się i tak, codziennie prawie, narada nad różnemi ważniejszemi wypadkami.

Dziś idzie sprawa najważniejsza, gdyż przyszedłszy, biorę z podłogi album, przeglądam marki, udaję, że nie słyszę, gdy Aciak przechylony przez ramię woła, — ten okaz kosztuje dzisiaj „skromnie“, najmniej czterysta złotych, — i powiadam:

— Teraz trzeba z tem wszystkiem skończyć i ostateczne wysiłki skierować w inną, ważniejszą stronę, — w stronę kupna roweru [1].

[1] Uważny czytelnik przypomina sobie zapewne, że rower występował już w opowiadaniu „Wśród Otchłani“. Otóż tamten rower był pożyczony tylko, a tu chodziło o kupienie własnego.

Zapada wielka cisza, a potem okrzyk krótki, szalony: — Jakto?!!

Bo nikt nie wie, tylko Aciaki wiedzą, czem może być rower. Rower, to zostać człowiekiem-ptakiem, rower, to tysiąc razy prędziej! Rower, to będą rączki korkowe, albo nawet emaljowane, które, gdy rower stoi, — można łagodnie głaskać od rana do wieczora.

Rower, to jest ulica, każda ulica świata, każda droga, każdy gościniec, każda szosa Europy, Azji, Ameryki i po niej, dzwoniąc bezustanku, — tysiąc razy prędzej!!!

To jest rower.

Nie potrafię opowiedzieć, jak się dalej toczyła rozmowa o rowerze. Zaczęliśmy, gdy jasno jeszcze było, — już zmrok zapadł, chmury nad kamienicą zwisły, a my tu wciąż radzimy.

Sznurek od story raz w prawo, to znów w lewo uderza lekko w ramę, a my tu wciąż radzimy. I znów cisza i namysł i znów westchnienie i znowu — ta męczarnia...

Poprostu niewiadomo, czy to sen, czy też jawa?...

Naprzeciw, w oknie trzeciego piętra siedzi tam znów ten Aciak, czy też Bekas, czy Trzeciak, — i daje jakieś znaki.

Na dole, po asfalcie ulicy jeżdżą chłopcy, mijają się, znów razem jadą — szczęście na cieńkich połyskujących szprychach.

— Na wypadek, roweru, — powtarzam, — trzeba zaprzestać chyba wszelkich marek i wszystkie oszczędności skierować w nową stronę.

Cisza. I jeszcze cisza.

Tylko z dołu, z asfaltu słychać szczęście połyskujące w mroku blaskiem metalowych osi.

Potem nagle, tuż przy mnie szept tajemniczy: — To niemożliwe tatu. Zupełnie niemożliwe.

— Dlaczego? — zapytuję łagodnie.

— Bo trzeba zbierać marki.

— Naco?

— Nie masz pojęcia nawet, jaką to ma wartość.

— No dobrze, — ale naco?

Nagle, — nagle w ciemności głosem pełnym cierpienia i łez krzyczą oba Aciaki: — Musimy zbierać ciągle, — na wszelki wypadek!!...

— Ależ niby na jaki wypadek?

Cisza i jeszcze większa cisza i bezradność a potem nagle wezbrany głos w ciemnościach: — Na wszelki! Na wypadek powodzi, kiedy nie będzie mieszkania, bo woda wszystko porwie.. Nie mówiąc o pożarze! Wtedy, — drżącemi dłońmi unieśli ku mnie album, — wtedy odrazu to!! Za to dostaniesz wszystko!!!

Krzyknąłem przerażony: — Ależ dzieci, dzieci!!

Niewiadomo dlaczego padliśmy sobie w objęcia, przejęci jakimś bólem ogromnym, tak bliskim, — drżący, spłoszeni, nie przesadzę, gdy powiem, — pełni łez i tak dziwnej radości.

Sądzę bowiem, że w tym okrzyku o powodzi zabłysła i rozłamała się nad nami szalonem światłem najwyższa i najwstydliwsza wartość życia ludzkiego na świecie; ta w którą nikt nie wierzy i której wszyscy oddają z siebie wszystko: Najgłębsza a zarazem beznadziejna komedja istotnego posiadania.

Helenie Wieczorkowskiej
poświęcił autor

ADMIRAŁ
(CZYLI MUZYKA WAKACYJNA)

Jakażto jest muzyka, — niema takiej na świecie, choćby u szczytu nieba zawieszonej!

Niema takiej muzyki, żeby się w niej nauczyciele wszyscy rozpłynęli; nauczyciele, książki, zeszyty i godziny i cały rozkład godzin z arcią, czyli arytmetyką, geogrą, czyli geografją, robotami ręcznemi, anglikiem, czy też z panią mis do angielskiego, ba, nawet z błogą gimną czyli gimnastyką!

A tu tymczasem już rozpływają się nauczyciele jeden za drugim, prędko i doskonale. Znika z powierzchni świata wychowawca, kurtka nauczyciela geografji rozwiewa się w błękicie, choć była całkiem czarna, nawet sam dyro, czyli dyrektor, — niby wydęty obłok rozpęka wśród radości.

Jeszcze tylko nasz pan od gimnastyki trwa pośród pierwszych godzin, płynących tak dziwacznie po rozdaniu świadectw. W białej koszulce, w białych wiotkich spodenkach przelatuje przez plany przyszłości, wynurzy się znienacka miłem, śmiesznem wspomnieniem z trapezu, wiszącego przy drzwiach do salonu i przepada w pełnem lipcowem słońcu.

Cóż mówić o zeszytach, książkach, starych tornistrach, farbach, pogruchotanych cyrklach?!

Tornistry spadły na półkę z książkami i leżą tam — już martwe.

Wolne kartki zeszytów zapełniono pośpiesznie całą flotą olbrzymich malowanych steamerów a potem, z temi wielkiemi steamerami, którym już nikt nie zdążył dorobić okien kajutowych — wszystkie zeszyty znikły, jak znika ptactwo na jesieni.

Tak przepadły zeszyty, nauczyciele, tornistry, tak znika teraz właśnie całe nasze mieszkanie, zamknięte w kufrach i nieporęcznych koszach.

Jeszcze tylko na klawjaturze czarnego fortepianu przebiega rok ubiegły w wyuczonych przez ten czas kawałkach a przegrywanych teraz, śmiesznych dziś, — tak już dawnych!

Z owych kawałków widać jeszcze trochę, że była kiedyś jesień i jakaś zima i potem wiosna.

Został z tego wszystkiego w całem pustem mieszkaniu fortepian i niezapakowany dotąd jeszcze wielki album z markami.

Album z markami — skarb.

Ten skarb ukryto świetnie, w łazience, aż pod wanną.

Teraz już można jechać. Jedzie się dziś wieczór. Dlaczego aż wieczorem, kiedy można już teraz?

Wszystko, wszystko gotowe.

Jeden i drugi, oba Aciaki siedzą na kufrach z całym swoim dobytkiem: Łuk, pięć strzał zeszłorocznych z odprasowanemi świeżo lotkami, aparat fotograficzny w tekturowem pudełku, mapy wszystkich województw na

wypadek wycieczki jakiejś, piłka nożna, nadęta jak najmocniej, — bo w ten sposób nie zginie, — stary scyzor, który chociaż zardzewiał, wszystko tnie, jak warjat, ping-pong (na deszcz), rakiety do tenisa, jedna trochę spaczona, oraz druga, bez kilku strun, ale to nic nie szkodzi, — sześć zeszłorocznych piłek tenisowych w czarnej nicianej siatce, biały lakierowany okręt „Kazimierz Puławski".

Na stole został portfel, tekturowo-skórzany, z biletem tramwajowym, z starym rozkładem godzin, z rozpoczętem zadaniem, z wymyślonym rebusem, — świetnym, — z trzema stalkami, z dwoma nowemi Kongo i z kartą: Asem karo.

Stróż dzwoni, że już samochód czeka, wszyscy wloką pakunki, trzebaby jeszcze wrócić po ów portfel. Wrócić, wrócić koniecznie, — gdy oto nagle widać, że już niema powrotu, fala wakacyj złocistą łuną zakrywa cały świat.

W tej łunie rozstępują się ulice, samochód warczy.

W warczeniu tem znikają domy, sklepy, nawet sklepik dzielnego „papierzarza", u którego w przeciągu roku nabyto tyle haubic i tyle samolotów do klejenia. I sklepik papierzarza i owocarnia i cukiernia i cztery okna ciotki na parterze ulicy Koszykowej.

Wszystko znika.

Po dworcu tylko ugania niewidzialny, śpieszny strach przed spóźnieniem, — zegary stoją w miejscu, a czas na pewno leci!

Zegary stoją w miejscu a czas na pewno leci. Nie czeka na zegary. Leci!

Leci, rozdyma wielką złocistą łunę wakacyjną, z któ-

rej nagle wynika ciężka lokomotywa, wielka, czarna, sycząca.

Miejsce przy oknie, ażeby było z wiatrem, — trochę nocy, lecz cóż tam taka noc w wagonie — i zaraz potem rano inne kraje i taki cudny, taki wspaniały ranek, bo się myć nie potrzeba i już są góry coraz większe i już inne mieszkanie i całkiem inni ludzie.

Jesteśmy, gdzieśmy byli, w Rabce, gdy miałem tu lat dziesięć.

Te same miejsca i to samo powietrze i ten sam zamach radości w nowym świecie.

To tu, przy strumyku nazwaliśmy tamtego jakiegoś przyjaciela, — ja oraz mój przyjaciel, który jest teraz wielkim mężem nauki, — rakową zupą.

— Słuchaj, zupa rakowa, słuchaj, — wystarczyło powiedzieć te właśnie cztery słowa, aby pękać ze śmiechu.

Pękać, — pękać ze śmiechu!

Oni zaś co innego teraz mówią. Mówią coś o Karolu „księżycowym“, o Karolu księżycu, który ma dwa księżyce wyszyte na środku koszulki gimnastycznej.

— Ten Karol księżycowy, — ty wiesz? Ten Karol księżycowy, — i śmiech i wszystkie góry, pełne śmiechu, — góry samego śmiechu od ziemi aż do nieba.

Mój przyjaciel, uczony stracił dziś swego syna. Młody lotnik, podchorąży lotnictwa, o którym właśnie donoszą dziś gazety, — to syn mojego przyjaciela, tego samego, z którym wołaliśmy tu kiedyś nad urwiskiem strumienia: — Słuchaj, zupa rakowa, słuchaj!!

Siedzę, czytam gazetę, z tą oto wiadomością.

Przez okno nasze widać te same góry piękne, kilkadziesiąt jaskółek obsiadło druty telegraficzne, idące wpoprzek okna.

Leci człowiek przez druty owe, leci powietrzem ziemią aż tam, pomiędzy książki starego towarzysza, tam daleko, do domu tych nieszczęśliwych ludzi, pragnąłby coś powiedzieć, lecz cóż można zaradzić?! I cóż tu mówić?!

Nic, chyba nic! Trzymajmy się słonecznej próżności niepojętego świata, — ogromne cienie płyną wszędzie pod spodem, przybyły teraz tutaj, patrzą przez moje okno wypełnione błękitem, lecz w drzwiach stają znienacka obydwa Aciaki, wołając natarczywie:

— Zobacz tylko nasz namiot!

Namiot, czyli królestwo małej, dźwięcznej siekiery, osadzonej na drzewcu, z którego spada ciągle.

Siekiera pośród wiklin, siekiera wśród olszyny, siekiera na pniu sosen, siekiera i paliki wbijane łbem siekiery!

Siekiera, prześcieradła, koce z całego domu, namiot ciasny, gorący, z pożywieniem, z zapasami żywności, ze słodką wodą, namiot pilnie strzeżony przed zbójcami wszystkich części świata, namiot nieodwołalny, jedyny znakomity, namiot, w którym czternastu wodzów pożywia się prześwietnie bułkami z czekoladą, trzema pomidorami, starym kotletem, popija zaś tę sprawę butelką kradzionego soku malinowego.

Jakże się stało tedy, że już po południu przestał istnieć ów namiot a z wszystkich koców, kołder i prześcieradeł i ręczników zajętych przy namiocie usłano

królewskie legowisko dla czarnego madyara? Madyara, psa dzielnego uwiązanego obok stodółki do drewnianej psiej budy?

Jak się znów potem stało, że z takiego szacunku i tak miłej czułości dla dzielnego madyara wynikły krzyki o jakieś sznury do suszenia bielizny oraz o pohańbioną rzekomo cześć wszystkich naszych koców, prześcieradeł i płaszczów?

Jakże znów potem nagle poniechano tak szybko przezacnego madyara?

Oto przyjechał nagle mąż tej pani z Tarnowa na nowym motocyklu.

Więc — straż przy motocyklu. I podwieczorek przy tym motocyklu.

I już niech płynie najdłuższe życie — tylko przy motocyklu, który pachnie, szeleści, ma chrzęszczące siodełko! Który ma taką siłę, że choć stoi na miejscu, to jakoś jedzie dalej sam w rozpędzonych myślach.

A na drugi dzień rano, — poprostu istne czary. Z motocykla wynikły motyle. Wyfrunęły tak niespodzianie z pod samej kierownicy.

Motyle i motyle, nie ćmy, lecz admirały.

Kamfora, albo eter, albo nawet, — woda kolońska potrzebna będzie teraz nieustannie.

— Lej mu na łeb, — słychać dokoła domu. — Lej mu na łeb, to uśnie, ani nawet nie zipnie.

Admirały żłopią wodę kolońską, — bez przerwy, całe flachy. Niema dla nich ratunku, — chyba, że przyjdzie lodziarz.

Lodziarzu, człeku boski!

9*

Lody w lakierowanym wózku białym z pięknym napisem — KAUKAZ.

Orzechowe, lub śmietankowe, czekoladowe, albo też malinowe. Albo nawet ananasowe. Albo też — wszystkie razem!

Po lodach zaś, ni stąd ni zowąd okazuje się nagle, że teraz właśnie trzeba trenować podpis.

Własnoręczny swój podpis trenować atramentem.

A potem nagle, z tej pracy nad podpisem wynika znowu budowa wielkiej tamy na potoku. Po której triumfalnie popłynie sobie okręt, dzielny trójkominowiec, czyli Kazimierz Pułaski.

Owego Kazimierza Pułaskiego, niesionego zpowrotem do domu dostrzegła jednak, całkiem znienacka pewna krowa, brunatna w białe łaty. I urządziła za nim pościg.

Wypadałoby, wobec powyższego wydać nazajutrz walkę wszystkim krowom, gdyby na szczęście, nie zjawił się był pewien kolega z czteroma głowaczami w słoiku.

Cóż to za świetne ryby te głowacze!

Więc, naturalnie, — rybołówstwo! Kopanie glizd siekierą, tą angielską siekierą i jedzenie smażonych głowaczów, lepszych, niż pstrągi, — najlepszych ryb na świecie!

A potem, nagle, niespodziana wycieczka, — osiem stacyj, koleją, ze straszliwą przygodą już na powrotnej drodze: Zostawienie aparatu fotograficznego w wagonowym klozecie.

Rzecz straszna, — mianowicie jakgdyby ankieta poprzez wszystkie klozety kurjera, walenie w drzwi, —

pytanie siedzących tam, naprzykład pań i panów, czy gdzie obok nie stoi aparat w tekturowem pudełku.

Wreszcie odnalezienie zguby całkiem przypadkowe, w kącie tego samego wagonu, pod własnym, najwłaśniejszym płaszczem.

I w dodatku jeszcze ulewa na powrotnej drodze, Boże, jaka ulewa!

Wobec takiej ulewy wychowywanie dwóch małych, białych kotków i patrzenie na góry przez zlizany cukierek, prawieże przeźroczysty.

Potem znowu pogoda: Więc łuk i miecze i latanie z latawcem i nagle, całkiem nagle, coś gorszego, niż było z krową, gdy zobaczyła trójkominowca naszego Kazimiera Pułaskiego: Na skraju lasku ukazał się profesor, ten z naszego gimnazjum, — przyjechał tu z swym synem.

Złota łuna wakacyj zaćmiła się, rozwiała, poprzez zielone sosny, poprzez złocisty owies i dalsze, granatowe góry przeleciał cień mieszkania w mieście i uśmiech papierzarza i może ciąg zeszytów, machających kartkami, jak skrzydłami gołębie.

Ogromne cienie płyną wszędzie za każdym brzegiem, kształtem i zjawiskiem — w nogi, w nogi przed cieniem i dalej, z rewolweru kapsłowego walić, ile się zmieści i w co się tylko da!

A znów potem z strzelania tego wyszła nagle gra w szachy a z gry w szachy strzelanie z łuku, a znów z tego strzelania, gra w karty, więc naprzykład belotka, stara głupia belotka. Z której ni stąd ni zowąd wynikł, całkiem niespodzianie bridge, doskonała gra —

fenomenalna, — bez trzech, czterech, bez pięciu, z nieustannem wołaniem: — Gwiżdżę na twoje piki! — Gwiżdżę na twoje kara!

A znów z tych karów wynikło wielkie zbieranie grzybów, a znów może z maślaków, rydzów i prawdziwków ta rocznica dzisiejsza?!...

Więc poszliśmy na cmentarz razem, gdzie spoczywa oddawna, przez zimę, lato, jesień, przez wszystkie pory roku, od lat tylu moja najdroższa matka, na pochylonej górce, pod dużym, ciemnym dębem, w szumie i w powiewaniu długich, wiernych gałęzi. I gdzie tuż obok przywtarzają tej sprawie wszystkie pomniejsze drzewa, płocha akacja, dwa rozrosłe jesiony i jakaś dzika jabłoń.

— Tu leży twoja matka? — Aciaki patrzą, czapki trzymają w ręku i nic nie rozumieją.

— Moja matka, ta sama, którą widzicie u mnie, nad bibljoteką, na powiększonej fotografji; w tych płaskich srebrnych ramach.

— Aha. No, naturalnie.

Tu leżą już na zawsze najlepsze moje lata, wszelka opieka moja i całe pamiętanie.

Aciaki patrzą i nic nie rozumieją, choć tak mądrze kiwają głowami.

Złota łuna wakacyj miota się pośród drzew, cienie rozgarnia światłem, osiada na widoku, na trawie i na krzyżach.

I cóż te miejsca nasze i co te wszystkie krzyże, gdy właśnie młody seter wskoczył przez stare wrota, biega między grobami, goni za admirałem, motylem naj-

piękniejszym i poprzez wszystkie cienie macha złotym ogonem?!

Aciaki stoją skromnie, lecz oczyma ścigają admirała. A może właśnie, z tego oto przypadku wynikły później te wielkie imieniny, na które poszli z nami w nowych czystych mundurkach i zaczęli od tortu a zaś skończyli, — o mocny, wielki Boże, — pod niebem, pełnem gwiazd.

Godzina jedenasta, czyli dwudziesta trzecia: Już był wermut i wino, już był podwieczorek i kolacja, już zostali poznani ci wszyscy niepotrzebni starsi, — cienie wielkie i nudne, siedzące na fotelach.

Czas spać, — Sobek czeka już dawno, na koźle, przed domem.

Wyszliśmy więc na ganek: w drzewach srebrzysta cisza, niebo zaś świeci wszystkiemi miljonami wszystkich najdalszych gwiazd.

Tak świeci niebo tylko w górach, całą swą mocą roziskrzoną aż do samego dna!

Od Sobka pachnie koniem, kożuchem i fajeczką, a zaraz dalej, za tym błogim zapachem ogromnie tajemnicze, ciche królestwo nocy.

— Więc was Sobek odwiezie pięknie, — powiadam, — a teraz dajcie tu jeszcze ojcu pyska na dobranoc.

Lecz jakże trafić z onym dobranocnym pyskiem, gdy się Aciakom w oczach potroiło i zamiast do ramienia przykładają swe głowy ciężkie do błyszczącego księżycem gorsu frakowej koszuli.

— Ruszajcie teraz, Sobek.

Sobek ruszyć nie może, choć już cmoknął na konie. Sobek ruszyć nie może, gdyż właśnie jeden Aciak, ten zdobywca, gramoli się na kozioł.

Drugi tymczasem, humanista, zajął obie poduszki. Ale wtedy ten z kozła, zdobywca, zazdrości znów poduszek humaniście.

I tak zmieniają się i tak wspinają i znowu się gramolą. Nareszcie, po uciążliwych targach wyruszyli pod górę, stojący na poduszkach starego landa, twarzami do księżyca obróceni... Do księżyca i ku nam, — gęstym cieniom, wychylonym ostrożnie z gałęzi werandowego bluszczu.

Zwróceni ku nam i do księżyca i ku miljonom gwiazd wakacyjnego nieba, po którem kto wie, może nawet i w nocy, złoty wesoły seter goni za admirałem, motylem ślicznym, najpiękniejszym na świecie!

Motylem ślicznym, najpiękniejszym, który ze szczytu nocy przecudnemi skrzydłami budzi jakąś muzykę, — jakażto jest muzyka? — Ziemska, ludzka, czy boska?!

Nie ziemska i nie boska, — muzyka wakacyjna!

Józefowi Ujejskiemu
poświęcił autor

LATAWIEC
(CZYLI NAJPIĘKNIEJSZE WYDARZENIE)

Moje dwa Aciaki i jeszcze dwóch innych i jeszcze jeden, trzeci czekają na Janusza.

Jest rzeczą bardzo ciekawą, czy Janusz strzela tak samo świetnie z łuku jak z procy? Z procy może trafić każdego, gdzie chce. Specjalnie lubi trafiać w kostkę.

Tak właśnie wczoraj, z powodu latawca i niepotrzebnych wrzasków trafił w kostkę głupiego chyrowiaka.

Chyrowiaka, zwanego księżycowym, albo księżycem. Księżycowy, czyli chyrowiak, nazywający się jednak Karolem został nazwany księżycowym dlatego, że ma na koszulce gimnastycznej wyhaftowany księżyc.

Dostał w kostkę, bo nietylko wrzeszczał, ale wbiegał ze swym latawcem pomiędzy strzelających z łuku.

Janusz nie strzelał z łuku, tylko się przypatrywał, zresztą przyszedł zapóźno, nie mógł więc wziąć udziału w konkursie, który ciągnął się do stu punktów.

— Tak, — wołali łucznicy, — jest to konkurs, jakiego jeszcze nie było. Dziś chyba żadna krowa nie da mleka. Ze zdenerwowania!!

— Dlaczego? Z jakiego zdenerwowania?

— A jakby tak tobie strzelali prosto przed nos?

— Ho, — rzekłem, — ja nie daję mleka.

— Ale gdybyś był krową? Pomyśl! — To mówiąc Aciak wskazał na cel.

Olbrzymi arkusz grubego papieru do pakowania, pomalowany w różnokolorowe kręgi, szerokie conajmniej, jak ratunkowe koła okrętowe, — przybity był do tylnej ściany obory.

W ścianę tę godzą raz po raz z tęgim rozgłosem uderzenia strzały, którym jakgdyby odpowiadał stateczny poruch krów.

Wczoraj było zapóźno, ale dziś Janusz musi nareszcie pokazać, czy jest strzelcem „zupełnym“, czy tylko z procy?

Moje dwa Aciaki i jeszcze dwóch innych i jeszcze jeden, ten trzeci siedzą w bruździe, między łąką a drogą.

Naprzeciw za lekkim skłonem górki widać mały czerwony domek, w którym mieszka Janusz ze swym ślepnącym ojcem. Ojciec ten widzi już tylko bardzo wielkie przedmioty, naprzykład słońce, gdy jest rozświecone wyraźnie, twarze znajomych, oświetlone lampką elektryczną i gwiazdy.

— Starszy jest od ciebie ten ojciec Janusza tylko o cztery lata, — zwierzył mi się wczoraj mój Aciak-humanista, a taki już ciekawy człowiek.

Za małym czerwonym domkiem widać w głębi na drugiej górce pogrążoną do połowy w sosnowym lasku białą willę Szarotkę, w której dwa dni temu w nocy byli bandyci, ale zostali postrzeleni; na prawo znów

wznoszą się czerwone mury niedokończonego jeszcze domu pewnej warjatki.

Mój Aciak-humanista wie wszystko o wszystkich domach dookoła. Może dlatego wyciągając się teraz naprzeciw rannego słońca, powiada:

— Nasza okolica nie jest wcale gorsza od innych.

Nikt jednak nie zwrócił już uwagi na to zdanie. Z czerwonego domku wybiegł Janusz, wszyscy zerwali się z brózdy i pobiegli co tchu za oborę, by rozpocząć nowy konkurs strzelania z łuku.

Centrum celu oznaczone liczbą dziesięć jest koloru złotego. Główny środkowy cel musi być zawsze tego właśnie koloru: żeby wyglądał, jak oko tygrysa, albo lwa.

— Niech ci się zdaje, że masz trafić w oko tygrysa, który czyha na ciebie i zaraz rzuci się do skoku. Wtedy o wiele łatwiej trafisz, — to całkiem jasne.

Teraz już trudno powiedzieć, czy Janusz, procarz o bystrem spojrzeniu chomika i włosach sterczących jak u jeża okazałby się dobrym łucznikiem. Ani dnia tego bowiem, ani też dni następnych nie powrócono już do przerwanego konkursu.

Przerwę w zawodach strzelniczych spowodował znów nie kto inny, jak tylko, — oczywiście, — ten księżycowy, czy też księżyc, krótko mówiąc chyrowiak Karol.

Chyrowiak Karol sprawił, że już przez cały dzień dzisiejszy i następny nie został ani jeden tygrys trafiony w oko (w sam środek złocistego krążka) oraz że krowy gazdy Sobka mogły zacząć dawać mleko bez wszelkiego zdenerwowania.

Chyrowiak Karol zrobił to całkiem poprostu: Na czele swoich trzech stronników, — oczywiście durniów, skończonych durniów, jakich świat dotąd nie widział, — z małym białym latawcem, trzymanym w obu rękach, wiejąc długim ogonem latawcowym, do którego uwiązane są różnokolorowe papierki, — przeszedł spokojnie drogą, obok zgromadzonych łuczników.

Chyrowiak Karol nic nie mówił: O wiele gorsze jednak było, że jego biała twarz a raczej pysk, — pysk, zwykły głupi pysk, — wyrażał wszystko...

Tak dalece wszystko, że łucznicy musieli udać, iż nie widzą przechodzącego na czele swych stronników chyrowiaka.

Znieśli to i byliby strzelali jeszcze długo i możeby istotnie krowy zatrzymały mleko ze zdenerwowania, gdyby nie jakiś wrzask nagły a zupełnie nieoczekiwany.

Wrzask z powodu idjotycznego, — ale kto wie? Może to nie był znów tak bardzo idjotyczny powód?

Chyrowiak Karol i jego stronnicy wrzeszczeli na środku łąki w niebogłosy. Wrzeszczeli tak straszliwie i radośnie i triumfalnie, że poprostu, — jakby się z nich kurzyło.

Wśród wrzeszczących stronników, — durniów, jakich oczywiście świat dotąd nie widział, — stał chyrowiak Karol i sam nie wrzeszczał. Nie tylko nie wrzeszczał, lecz widać było, że triumfalnie — milczy.

Milczy — z radości.

Nad łąką bowiem, mimo, że nie było wcale wiatru, — może cokolwiek, trochę, najwyżej kilka ciągów od zachodniej strony, — wznosił się wysoko latawiec, wzno-

sząc się zaś machał różnokolorowym ogonem po błękicie. A chyrowiak Karol (bo ma młodszego brata, ale ten się nie liczy) milczał, tylko białe włosy niciane jeszcze bezczelniej iskrzyły mu się w słońcu.

No, — łucznicy nie odrazu dali wszystko po sobie poznać... Strzelali nawet mocniej, by chyrowiak słyszał pukanie strzał w ścianę obórki.

Poznać nie dali po sobie nic, ale musieli byli czuć rzeczy bardzo przykre, skoro przestali trafiać i skoro z gwałtownego strzelania poprzecierali sobie palce do krwi o cięciwę.

A latawiec chyrowiaka, jak się utwierdził na niebie — białem trójkątnem sercem, — tak trwał prawie bez ruchu.

Latawiec wciąż na niebie i wciąż ogon zuchwały, żółto biało czerwony majda po błękicie.

Za to pukanie strzał wali wciąż w oborę.

Latawiec wciąż na niebie, — strzały walą w oborę.

Walą, lecz coraz słabiej.

Słabiej i jeszcze słabiej i może już ustały?

Ustały.

Na schodach słyszę huk a potem jedno jedyne słowo:

— Nóż!

Tumult, zgiełk, krzątanina.

— Daj nam kuchenny nóż, idziemy po wiklinę.

Stara kucharka nie chce wcale dać noża.

Porwali i uciekli.

Już jest wiklina, dziesięć ogromnych prętów, na podłodze. I cały pokój pełen oberwanych liści.

Potrzebny jeszcze papier do pakowania. Gruby, lecz nie za ciężki.

— Ile tego papieru?

— Na dwa, na trzy latawce.

— A jakiego koloru?

— Zielonego!

— A forsa?

— Forsa, — i jeszcze sznurek, ależ koniecznie sznurek!

Jęczę, — nie chcę dać forsy. Lecz o tem, że nie daję forsy nikt nie słyszy. O tem się tu nie mówi. Tu się mówi tylko o chyrowiaku Karolu. Bezczelnym — księżycowym.

Przerywa się dyskusję jednym prostym okrzykiem: Patrz!!

Dwa paluchy, dwóch dłoni sterczą w otwartem oknie.

— No, co?

— Patrzże na tę bezczelność!

W wykroju okna widać na gładkiem niebie biały trójkąt latawca i ogon, ten różnokolorowy ogon majdający w błękicie.

Rozumiem wszystko i już nie odpowiadam. Zjawisko jest tak niebywałe, że nawet gdy wyciągam portmonetkę, gdy już na stole brzęczą drobne pieniądze, nikt na nie nie spogląda.

Roziskrzone źrenice Aciaków utkwione są w latawcu.

— Jednego złotego musisz nam dać na papier. Sznurek, — trzysta dwadzieścia metrów — dwa złote pięćdziesiąt. Jeżeli będzie jaka reszta, to ci odniesiemy.

— No, z tego sznurka przydałoby się może trochę dla mnie?!

Z okrzykiem — nigdy, — wylecieli, znieśli rower po schodach, siedli we dwóch i wrzeszcząc — hurra — wzdłuż całej łąki, na której stał ze stronnikami swemi chyrowiak księżycowy, — pojechali wdół, prędko do miasteczka.

Nietrudno się domyśleć, co potem nastąpiło: Stolarnia, — kuźnia, — piekło!

Łamanie, charatanie, walenie, przybijanie, struganie, — jakieś świsty i znowu darcie łyka.

A potem łomotanie papieru do pakowania. Jakby ktoś skałę kruszył, przerzucał głazy i znowu rozłupywał.

A potem coś gorszego jeszcze, czego nikt nie przewidział a co zawsze wynika z zazdrości: Splątało się na węzeł i jeszcze potem się ściągnęło: sznurek długi, trzysta dwadzieścia metrów, — nie wolno rozcinać, bo jeśli przyjdzie wiatr nie nadążysz rozwinąć ze szpuli tego sznurka.

Skłębił się i zaplątał.

Więc, jak to bywa przed każdą wielką chwilą: Pot z czoła i milczenie i już ani jednego słowa więcej i już ta zgoda martwa, ostateczna, poza wszelką osobą, poza wszelkim honorem, — wyłącznie tylko samej rzeczy poświęcona.

Milczenie i pot z czoła i zatrzymany oddech. A tymczasem przez okno na czystym skłonie nieba wciąż jedno i to samo: Żółto-biało-czerwony ogon księżyca-chyrowiaka majda po błękicie.

Nie długo będzie majdał tak samotnie!

Już ich widzę, jak idą przez podwórze. Bez stron-

ników, samotni. Mniejszy Aciak, ten humanista idzie ztyłu, niosąc oburącz wielką szpulę ze sznurkiem.

Drugi Aciak „lińjowy“, bohater i zdobywca niesie latawca, trzymając go wysoko na piersiach, niby tarczę.

Przybywszy na brzeg łąki rozejrzeli się jeszcze, jakgdyby raz ostatni u skraju nowych losów.

Potem spojrzeli w niebo: czyste, wysokie, — jakże bardzo wysokie. Lecz na wysokiem niebie owem — latawiec chyrowiaka i ów paskudny ogon, biało-żółto-czerwony...

Zeszli tedy na łąkę w ciszy i samotności, jakby tam wcale nie było chyrowiaka z gromadą idjotycznych stronników.

Teraz trzeba wyrobić bieg: Ty biegniesz, — ja podrzucam latawca.

Ty biegniesz — ja podrzucam.

Chyrowiak patrzy, milczy, a stronnicy się śmieją.

Więc udawać, że chyrowiaka niema i że niema tu stronników.

Aciak zdobywca upadł już ze trzy razy. A potem znowu zaplątał się w ogonie.

Mamy ogon zielono-czarno-żółty. Nasz ogon jest — przecudny, — lecz ani razu jeszcze, ani przez błysk sekundy nie zamajdał po niebie.

Aciak zdobywca upadł już ze trzy razy a Aciak-humanista raz wraz wypuszcza szpulę z mokrych spoconych palców. Najstraszliwsze jest jednak, że niepodobna sobie wymyślać przy tak bezczelnych świadkach, jak „księżyc“, czyli chyrowiak Karol i jego stronnicy.

Praca idzie w milczeniu.

Milczenie, — to najwstrętniejsza rzecz na całym świecie.

Samolot już poderwał się — i znowu upadł.

Nie upadł. Żeby upadł! Poprostu brzdęknął, dzwoniąc drewnianą ramą i sepleniąc ogonem po trawie.

I znowu się poderwał.

Aciaki wvskoczyły, jak charty. Lecą, lecą szalone, dumne, nieprzytomne, aż im bluzki szmaciane nadyma wiatr rozpędu.

A tymczasem latawiec?

Nie brzdęknął nawet, lecz pełza, ślizga i jakby ślini się po ziemi.

Widzę to wszystko z okna całkiem wyraźnie, jasno.

Aciaki zlane potem, milczące wracają znowu na dawne, pierwsze miejsce. Któryżto raz? Dwudziesty, czy trzydziesty?

Aż nareszcie coś brzdękło, zazgrzytało i jakby nagle — furknęło cudnym, śmiesznym, bardzo skrzydlanym głosem....

Aciaki znowu pędzą, zdobywca przodem a humanista z głową ku tyłowi zwróconą, ze szpuli sączy sznurek, pędzą, pędzą i pędzą i już nie patrzą nawet co się dzieje na niebie, — gdy oto nagle sprężony sznurek zelżał a od telegraficznego słupa z samego kąta łąki dochodzi takie zdanie:

— My tam badamy próżnię, — puste dziury w powietrzu.

To Karol, chyrowiak księżycowy bada próżnię powietrza.

Wiadomo, że to podstęp. Dlaczegoto chyrowiak księżycowy woła, że bada próżnię?

Dlatego, że latawiec Aciaków znów leży — i to jak? Leży w świeżych szpinakach krowich. Poprostu w krowiem łajnie.

Aciaki — nic.

Ja w oknie — nic.

Nawet stronnicy chyrowiaka — nic.

Wszystkim zamarł dech w piersi.

Twarz Aciaka zdobywcy czerwona, purpurowa.

A Aciak-humanista zbladł i biały jest, jak płótno.

Latawiec chyrowiaka buja śmiało w powietrzu, biało-żółto-czerwonym ogonem zamiata po błękicie, a nasz ogon zielono-czarno-żółty leży poprostu w łajnie.

I znowu ten głos chyrowiaka: — My tam badamy próżnię, — puste dziury w powietrzu.

Lecz wtedy Aciak-humanista podbiega lekkim krokiem do naszego latawca i śmieje się wesoło jakoś, bardzo, bardzo wesoło, rękami strząsa ciekłe grudki z ogona i znowu w śmiech!

No, bo tak, naturalnie, jakiż to świetny dowcip: Któryż inny latawiec potrafiłby tak upaść? Akurat prosto w środek krowiego placka?!

Śmiech jest tak głośny, że z czerwonego domku, w którym mieszka ślepy ojciec Janusza, ukazuje się Janusz, ale co trzyma w rękach?!

Czerwonego latawca, olbrzyma, którego właśnie kończy już podklejać.

Więc: — chyrowiak wysoko na niebie.

Janusz z nowym latawcem w oknie.

A ten latawiec nasz, z zielono-czarno-żółtym ogonem, najpiękniejszym, — włóczy się po ziemi.

Stronnicy chyrowiaka wznoszą jakieś okrzyki. Od zachodu, od strony gór lesistych idzie deszczowa mgła, kiedyż jednak popłynie aż tu, na tę łąkę nieszczęścia?!...

Chyrowiak wrzeszczy ciągle, — ach wiadomo, że na złość, — o tych dziurach w powietrzu, lecz Aciak-humanista wymyślił coś nareszcie.

Wymyślił — ocalenie.

Niech sobie Janusz trzyma latawca w oknie. Niech go klei. A swym białym latawcem, niech tam chyrowiak bada dziury powietrza. Aciaczek-humanista wymyślił całkiem nagle, w tej ostatniej potrzebie — telefon telegraficzny, uczyniony z pudełka zapałek.

Nasz latawiec nie lata jeszcze, — lecz telegrafujemy!

Nim się tu poderwiemy do nieszczęsnego lotu, — przez sznurek, uwiązany do pudełka dajemy sygnał temu, który podrzucać ma latawca. Taki to jest telegraf. Udany przecież, ale wyborny do zmylenia uwagi.

I tak będzie do końca. Tam Janusz stuka w oknie czerwonym swym latawcem, tu chyrowiak na niebie, lecz przecież trzeba przetrwać, więc telegrafujemy, i już widać jak nawet stronnicy chyrowiaka podziwiają telegraf!

Od gór zachodzi mgła. Jeżeli plusnie deszcz, wyjdzie się stąd z honorem. A jeżeli nie plusnie, aż do końca, do zmroku, do wieczora, do nocy — każdy upadek naszego samolotu poprzedzi ten telegraf: — Że już, że już, do biegu, — do nowego rozpędu.

Stoję w oknie, mgła od gór idzie bokiem, i do nas tylko wiatrem zarzuca.

Aciaczek-humanista telegrafuje znowu przez sznurek naciągnięty na pudełku do Aciaka-zdobywcy. I nagle, nagle, nim zdołałem się spostrzec, słyszę krzyk tak szalony, tak mocny, tak potężny, pełen takiego pędu:

Ta-a-atu, ta-a-a-atu! — Pa-a-atrz, ta-a-a-atu!

Nasz zielony latawiec z swym przecudnym ogonem, zielono-żółto-czarnym, chyba nagle oszalał. Wzbija się, leci wyżej, płynie i znów wypływa przez wysokie powietrze, zatacza kręgi, wraca, jakże tu to wyrazić: Poprostu kąpie się w przestrzeni!

A potem, nagle znowu głos humanisty: — My jeszcze wyższe próżnie powietrza zbadaliśmy, to coś niesłychanego, — żebyś wiedział, — ile tam dziur w powietrzu, — ale — dopiero w tem — najwyższem!!!

Tego się właśnie bałem! Że ta wysokość badania przyniesie z sobą zgubę. I tak się stało. Na drugi dzień wystąpił Janusz z swym czerwonym latawcem. I z ogonem czerwono-czarno-złotym.

Wystąpił tak wspaniale, że nawet jego ślepy ojciec musiał wyjść na werandę.

Ojciec Janusza widział przedmioty duże, o ile były mocno oświetlone słońcem, to też stwierdził, że wybornie rozróżnia na niebie latawca swego syna.

Aciak-zdobywca miał jedną tylko odpowiedź na takie postawienie sprawy, a mianowicie, następujące słowa: — Dajmy na to.

Dajmy na to, — tem bardziej, że nasz „latak“ zielony badał najwyższe próżnie.

Do południa szło wszystko składnie. Chyrowiak śmiało przystąpił do konkursu badania. Tak śmiało, że nawet Januszowi pomógł rozwiązywać sznurek.

Dopiero po południu zmieniły się wypadki. Zmieniły się ogromnie, gdyż ustał wiatr. Teraz wszyscy czekali na wiatr, ale podczas czekania nabrało się stronników trochę zbyt wielu.

Chyrowiak miał stronników dawnych a także kilku nowych.

Aciaki wystawiły całą willę stronników z domu, w którym mieszkali.

Janusz miał tylko ojca, ślepego, lecz zato dorosłego.

Ci stronnicy krzyczeli bardzo.

Potem chcieli uradzić nawet, aby się pomodlono o wiatr, — na teraz, lub przynajmniej na koniec wieczoru. Lecz z modlitwą nie łatwa sprawa: każdy będzie się zaraz modlił na rzecz swego latawca.

A któżby się potrafił modlić na rzecz wszystkich latawców?

Trwało tak, w krzyku, to jeszcze w milczeniu, coraz dalej, za porę podwieczorku.

Świat, oraz cała okolica, jak zawsze w takich razach, — nic oczywiście.

Tu w młodym lasku sosnowym biała willa Szarotka z bandytami, tam znów domek ślepego ojca, tam na prawo budowla warjatki: Jak zwykle okolica, — nie gorsza wcale od wielu wielu innych.

Podwieczorku nikt nie jadł.

Niebo niebieskie czeka, gdy jedne chmury przeszły, inne nowe nastają.

Aż nagle, niespodzianie westchnęło coś w telegraficznym słupie, który stoi przy drodze, po drutach prześlizgnęło — i już jest wiatr.

Już jest wiatr, — już jest krzyk.

Chyrowiak ze swoimi, Janusz woła do ojca. Aciaki ze swoimi, — ma się rozumieć mowy już teraz niema o żadnym telegrafie zapałczanym, — nasz zielony latawiec nie potrzebuje bujd!

Stoję w oknie i czekam.

Sznurki się prężą, trójkąt zielony i biały i czerwony, więc nasz i chyrowiaka i Janusza rwą się prosto ku niebu, trzy wspaniałe ogony machają poprzez chmury takim blaskiem prześlicznym.

— Teraz żaden ptak nie śmie przelecieć nad tą łąką, — wołał Aciak-zdobywca. To on trzyma zwój sznurka, humanista zaś drepce szybko z nogi na nogę i tylko czujnie bada cały przebieg wyścigu.

Latawce idą wyżej, wyżej i jeszcze wyżej. Jakgdyby miały szyje i jakby szyje owe tężyły niecierpliwie w przestrzeń.

Niebo już tonie w złotych blaskach zachodu a tu po drzewach, nisko, po leszczynie, jesionach, sośnie i po bukach, przelata szept łagodny.

Łagodny i tak rzewny.

Latawce jeszcze wyżej szukają dziur powietrza.

Wtem humanista odbiega od gromady. Widzę, jak, mknie do domu, tu do nas, tu do willi.

Wpadł do pokoju matki, przewraca wśród pudełek na stole, wyrywa coś, porywa, lata, węszy po kątach, wpada do mnie, nie mówi ani słowa, otwiera szafę

szalonym ruchem wyciąga sznurowadła z pantofli i z trzewików, nawet z butów sportowych.

I ucieka zpowrotem na łąkę.

A tam wszyscy już krzyczą, — zielony jest najwyżej!

— Czerwony wyżej!

— Nieprawda, biały, hurra!!

— Nieprawda, nasz zielony! — woła Aciak-zdobywca.

Tymczasem Aciak-humanista wiąże śpieszne supełki, sznurowadło z tasiemką, tasiemkę znów ze sznurkiem, sznurek z szarym jedwabiem do cerowania pończoch. Słyszę, jak humanista woła: — Puszczaj, mamy rezerwę, mamy jeszcze rezerwę!

Coraz wyżej i wyżej, — latawce są już chyba przy tych najwyższych próżniach.

Tu nisko pośród sosen przebiega tkliwy szelest, — Aciak wiąże cierpliwie — latawce jeszcze wyżej, — w gromadzie chłopców wołanie coraz szybsze, coraz większe, — gorętsze.

Latawce już wysoko, jak nigdy, nigdy dotąd, — lecz nagle splątało się, wykrzykło, chyrowiak dziko wrzasnął, — za nim Janusz, — za nim Aciak-zdobywca...

Zrobił się z tego jeden dziwaczny kłębek wrzasku, krzyku, kułaków i nareszcie, — najgwałtowniejszej bitki: Bitki, kopnięć i płaczu — i już się tłuką, — już się leją straszliwie.

Ja wołam z okna, — jakieś matki przebiegają przez bramę. Z pobliża owych matek chłopcy pryśli we wszystkie strony i słychać krzyk:

— Latawce wypuścili, — odleciały latawce, — same!

Słychać krzyk, tupot, płacze, a potem schody dudnią i w drzwiach mego pokoju stają oba Aciaki. Humanista struchlały, blady, ze sznurowadłem wręku, oraz Aciak-zdobywca.

Aciak-zdobywca w rozerwanej koszuli, w zbłoconych portkach, z rozkrwawionemi kolanami stoi na środku izby i woła wielkim, zdyszanym głosem męża:

— Latawce są stracone na zawsze. Porwał je wiatr. Ale to było wydarzenie, — wspaniałe! Najwspanialsze wydarzenie — w życiu!!

Juljanowi Smulikowskiemu
poświęcił autor

LIST DO ACIAKÓW O NAUCZYCIELACH

Całe to miejsce poświęcam na list do Aciaków wszystkich klas Pierwszych A, do Bekasów wszystkich klas Pierwszych B.

Do Aciaków, Bekasów, Drugasów, Trzeciaków wszystkich klas całej Polski.

Czy jednak list ten dojdzie do Was, czy zechcecie go przeczytać, czy potrafię napisać tak, byście mnie wszyscy zrozumieli?

Nie wiem.

Ale wiem, że kiedy czuje się coś naprawdę — trzeba to koniecznie wypowiedzieć. Dlatego piszę do Was, Aciaki, tak poprostu, jakbym znał adresy Was wszystkich.

Wylecieliście z Pierwszej A, dążycie dalej, naprzód, codziennie tysiąc nowych rzeczy poznajecie. Śpieszy się Wam do łażenia po drzewach, do gry w piłkę, do strzelania z łuku, do bitki, do nowych książek, do roweru, niektórzy z ojcem jeździli już na aeroplanie, niektórzy już po górach chodzili, wielu pływało morzem.

Śpieszy się Wam na ziemię i na wodę i do podwodnej łodzi i na samolot. Śpieszy się Wam na ziemię,

wodę i w powietrze i wszędzie dalej, wyżej, a ja tymczasem wołam do Was nagle w tym liście:

— Zaczekajcie, zaczekajcie, mam Wam powiedzieć coś ważnego!!

Cóż ważnego? Czy o nowym rekordzie, czy o boksie, czy kto przepłynął znowu kanał La Manche, czy o jakiej nowej katastrofie?

Nie. Ani o samochodach, ani o samolotach, lecz coś ważnego — o uczuciach.

O uczuciach: Jak z pewnego nieszczęścia wynikła wielka pociecha a nawet prawie szczęście. A tamto znów, nieszczęście na to się stać musiało, byście Wy, Aciaki mogli się stać z durnych chłopaczków mądrzejszymi nieco chłopaczkami.

O uczuciach: Chodzi tu o coś takiego, jakby naprzykład za pomocą pięknej, szlachetnej myśli udało się komuś uspokoić olbrzymie fale oceanu, wśród których tonął okręt.

Zawołacie: A cóż nas to obchodzi?

Odpowiem: — Czy wiesz, że na to, byś się nauczył czytać, pisać i rachować, czy wiesz, że na to, byś wstąpił do Twojej Pierwszej A, — ktoś inny, albo poprostu mówiąc, nauczyciel, który Cię do szkoły średniej przysposobił, musiał był tak mozolnie nad Tobą pracować?!

Tak ciężko, — w tak okropnych warunkach!

Jedna znajoma nauczycielka pisze mi: — „W ostatnich dniach mojej pracy przeniosłam szkołę do stodoły, bo w klasie było tak duszno, że dzieci mdlały. Klasa moja ma 22 metry kwadratowe, wysokości 2 metry 40 centymetrów a dzieci jest czterdzieści sześć na jedną zmianę,

a na drugą też tyle. W połowie miesiąca dostałam silnych krwotoków...“

Oczywiście, bywają lepsze warunki pracy. Naogół jednak, iluż nauczycieli i nauczycielek pracuje w takich właśnie niedobrych, straszliwych!

Polska zniszczona tyloma wojnami nie może wszystkiego naraz odbudować. A tu Aciaki rosną, przybywa ich ze wszystkich stron, trzeba ich czegoś uczyć.

Więc łata się, jak tylko można i jak się da!

Więc łata się tę sprawę żywemi płucami nauczyciela, lub nauczycielki, która w takich warunkach dostaje krwotoków i śmiertelnie zapada na płuca.

Powiadam tu poprostu, — nieszczęście: No, bo to jest nieszczęście, gdy jedno pokolenie musi życie swe oddać za naukę drugiego. Tego żaden szlachetny Aciak nie chciałby, — gdyby wiedział.

Ale cóż może tutaj sam poradzić?

Powiecie, — społeczeństwo!

Społeczeństwo powinno radzić, ale teraz po wojnie goni we wszystkie strony, tyle we wszystkich kątach najważniejszej potrzeby, a pieniędzy nikt nie ma.

Posłuchajcie, jak z takiego nieszczęścia wynikła wielka pociecha a nawet prawie szczęście: Tak się tu przydarzyło, że ludzie sobie sami poradzili.

Nasamprzód mieli myśl, wszyscy nauczyciele, zorganizowani w jednym wspólnym Związku, — samą myśl zaradzenia złemu.

Ale cóżto jest myśl? Trzeba ją wypowiedzieć, przekonać do niej innych, poczem wcielić ją w życie.

Wypowiedzieli ją na Pierwszym swoim zjeździe na-

uczycieli Szkół Powszechnych z całej Polski. Na tym zjeździe był też Pierwszy Marszałek Polski Piłsudski.

Więc wobec Niego sprawę całą wyłożył nauczyciel Tadeusz Malicki: Że chcą zbudować dla swoich chorych towarzyszów wspaniałe sanatorjum. Kosztuje to miljony ogromne. Ale opodatkują się, każdy da jeden procent od swojego dochodu. Niech tylko wszyscy zechcą!

To właśnie jest zawsze w takich razach najtrudniejsze: By wszyscy chcieli zgodnie. Dlatego jednak mówili o tem przy Marszałku: Jakby wobec sumienia Ojczyzny, sumienia i honoru i najwyższej miłości.

Uchwała wobec takiej obecności zapadła jednogłośnie. I później jakby za to, że był przy tem, że był przy tej uchwale, obrzucili Marszałka kwiatami.

Od stóp do głów.

Poczem zaraz do pracy.

Pracowali półtora roku. No, — było tak, jak przy każdej poważnej robocie: Ten nie chce. Ten się zmęczył. Ten wogóle nie wierzy. Tamten znów nie chce płacić, choć wpierw sam przyobiecał. Jedni idą, — drudzy się już cofają.

Jak w każdej wielkiej pracy: Ileż tam było znoju, bólu, ile męki!

Zabudowali aż czterdzieści tysięcy metrów kubicznych przestrzeni na to swoje sanatorjum.

I jak? Nadzwyczaj pięknie.

Tyle tu staranności, tyle ładu, czystości, tyle wszędzie spokoju, ciszy, miłego odpoczynku, tyle wszędzie opieki.

Przez rok przewija się tu około tysiąc chorych. Tylko pomyśl, kochany Aciaku: Od słów, od nauk wyrzeczonych przed Tobą, w całym tysiącu ludzi palą się biedne płuca ogniem wielkiej gorączki.

Tu ustaje ten ogień. Tu z leżalni, gdzie wypoczywają i leżakują nauczyciele Wasi, patrzyłem na góry, wielkie Tatry, na drzewa, szczyty, niebo i na ten świat rozległy, tak bardzo, bardzo piękny.

Myślałem, jak się dziwnie układa droga człowieczej pracy: Jak taki nauczyciel leży tu, odpoczywa z owym pożarem w płucach, który to pożar wynikł z Waszych okrzyków, wrzasków, tupotu i hałasu.

Więc: — ile z siebie jeden człowiek oddaje drugiemu!

Widziałem ich, nauczycieli i nauczycielki, jak chodzą po swojem sanatorjum: Po korytarzach, salach, piętrach, po świetlicy.

Chodzą, jak po okręcie nowym, wielkim, tak czystym, a tak pięknym! Jakby przybyli tutaj z przykrego zgiełku, strachu, z wielkiego udręczenia — a tu wszędzie dokoła czystość, cisza i każdy ruch posuwa wszystko naprzód, — ku spełnieniu nadziei.

Z każdego okna widok na światy gór bezmiernych i bezdennego nieba.

W każdym pokoju wszystko aż błyszczy od czystości, tak pięknie szanowane, a zarazem tak wspólne.

Leżą, odpoczywają, leczą się akuratnie.

Słyszałem, jak rozwijają swoje sprawy w kancelarji Zarządu.

Wielu mówi tak cicho, że ledwie dosłyszalnym szeptem.

Nawet lecąca mucha zagłuszy to szeptanie.

Nawet lecąca mucha.

A Was tam jest czterdziestu kilku w klasie i to na dwie, lub może na trzy zmiany — przeciw temu biednemu głosowi.

To nic: Nie wolno przecie zakazywać Aciakom srogiej radości wrzasku. Na to już niema rady. Od żadnego Aciaka, ani od wszystkich całej kuli ziemskiej nie żądam ciszy. Wszystkich jednak upraszam mocno w tym liście, by, nim dopadną roweru, łuku, piłki nożnej, czy choćby nowej książki, — chwilkę tu przystanęli przed sanatorjum zakopiańskiem Nauczycieli Szkół Powszechnych.

W cieniu tych pięknych gładkich murów niechże Aciaki pomyślą — ile to jeden człowiek oddaje drugiemu.

Ile trzeba wogóle, by z jednego stopnia wspiąć się na drugi wyższy, choćby na stopień klasy I-szej A. Ile tu trzeba pracy tego drugiego człowieka.

A zarazem, że wdzięczność powinna łączyć ludzi. Gdy zostaniesz kiedyś może ministrem, wynalazcą, doktorem, — kto wie, czem możesz zostać, — przypomnij sobie, że u podnóża twych szczytnych zasług, — musiał zapłonąć tak groźny żar w płucach twego nauczyciela.

Cóż piękniejszego na świecie od wdzięczności?

I jeszcze: Że kalectwo nabyte w pracy, lecz objęte ramieniem koleżeństwa wytwarza dziwne cuda: Wśród biedy oraz obojętności taki oto dom ciszy, ładu i spokoju, — cóż wiele mówić, — jak gdyby okręt najpiękniejszej nadziei płynący naprzód pomimo szarych losów ciężkiej, niewdzięcznej pracy.

TREŚĆ